

# BLUSZCZ

*Spółecano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 25 STYCZNIA 1930 ROKU

NR. 4

TREŚĆ NUMERU: Dyletentyzm społeczny — *Helena Spoczyńska*. Trzeba wejrzeć — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Gwiezdne sygnały“ — *Zofja Zawiszanka*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Mury, pieśni i stroje starej Pragi — *Jadwiga Krawczyńska*. Pani Geoffrin — *K. Adamowiczówna*. Z teatrów — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Odpowiedzi Redakcji. Kobieta w świecie i w domu. Cera-mika huculska — *Jankowska-Oryńczyna*. Saneczkarstwo sportowe — *Dr. M. Kłosińska*. Hodowla kun (dok.) — *A. D. Kilka słów o zupach (dok.)* — *Pani Elżbieta*. Koło studjów gospodarstwa domowego — *Marja Ankiemi-czowa*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Premje dla stałych Prenumeratorek. Dodatek „Nasza Mówni-ca“. Dodatek „Mody i roboty“: Crêpe-satin — *Well*. Dodatek powieściowy: „Jak kochano przed stu laty“ — *Giorgia Pisani* — autoryzowany przekład *Zuzanny Rabskiej*. Arkusz wzorów.

## DYLETANTYZM SPOŁECZNY

W 45 numerze „Bluszczu“ roku zeszłego p. J. Strzelecka wypowiedziała się na temat personalnie ujemnych rezultatów należenia do różnych towarzystw jednej i tej samej osoby, zaniedbującej z tego powodu bliższe swoje obowiązki. W świetle zdrowego rozsądku pokazała nam same pracowniczki, czy pseudo-pracowniczki, odkryła „fałsz w ostatnim pacierzu“ ich niejednokrotnych poczynań, podając przyczyny wpisywania się do związków i komitetów.

Wydaje mi się, że w swej trafnej diagnozie nie doceniła jednego motywu czynienia czegoś dla kogoś, t. j. motywu miłości bliźniego, czy miłości Boga. Jest przecież wiele takich miłujących pracowniczek, choćby Siostry w Laskach (praca dla ociemniałych — patrz artykuł: „Uśmiechnięte apostołstwo“), czy praca niedawno zmarłej belgijki — Małgorzaty Lekoux („Płomień ofiarny“ — przez Lekoux), współczesnej apostołki robotników, czy też praca ofiarna dla więźniów (Selma Lagerlöff: „Wspomnienia“), dla małoletnich przestępców („Moi złodziejaskowie“ — Alessandrina Ravizza).

Oczywista, że taka praca idzie w parze z doskonałością i świętością, z kompletnem zapomnieniem o przewodniczeniu, zaszczytach, odznaczeniach, z nieustanną pamięcią o istocie rzeczy, t. j. o tych, którzy pomocy potrzebują. Ale nie o tem chciałam mówić. Raczej o rezultacie pracy „społeczniczek“, o krótkim, anemicznym, często zgoła niesławnym żywocie wielu sezonowych związków, i o ludziach zorganizowanych i niezorganizowanych. Patrząc na społecznictwo, widzimy ludzi w organizacjach i poza niemi. Poza organizacją są masy ludności wiejskiej i miejskiej, poza organizacją jest inteligencja, nieraz pracująca dla mas, niemająca jednak organizacji dla siebie.

Utarło się przekonanie, że uspołeczniony człowiek — to przede wszystkim ten, który należy do grup, związków, partyj, towarzystw, że stopień kultury poznaje się po ilości zrzeszeń ludzkich. Pewnym argumentem, popierającym taki pogląd, jest mapa polskich zrzeszeń, sieć organizacyj, rozmieszczonych w Polsce. I tak, najgęstszej sieci organizacyjnej Pomorza i Śląska odpowiada największy dobrobyt, najwyższy poziom gospodarczy i oświatowy; najbardziej zaś niezorganizowanym Kresom Wschodnim odpowiada największa ciemnota i nędza, najniższa stopa życiowa.

Czy jednak możnaby wskutek tego twierdzić, że wykładnikiem uspołecznienia grup ludzkich jest zorganizowanie się?

Czy nie możnaby zaryzykować innego słusznego zdania, że uspołecznienie, t. j. przygotowanie do życia w narodzie i wśród narodów, dokonuje się może skuteczniej przez współżycie z obywatelami danego kraju, a nie tylko przez osobnicze, choć wielokomórkowe, życie w organizacjach? Bo przecież tak często spotyka się aspołecznie usposobionych ludzi w organizacjach, i naodwrot: typy o wysokiej kulturze uspołecznienia — poza kapliczkami związków. Wobec tego wyjściem z trudnej sytuacji byłoby społeczne życie w organizacji i uspołecznione życie jednostki poza organizacją, ale w każdym zbiorowisku ludzkim.

Do tego i w tem trzeba ludzi wychować, bo jakże oplakanie przedstawia się nasze życie organizacyjne i społeczne, jak niespołeczne rezultaty widzimy w całym szeregu związków, których trwanie równa się życiu motyla, a produktywność — zeru!

Jesteśmy świadkami mnogiej liczby urodzin i szybkich zgonów, lub zamierającego żywota całego

szeregu związków. Ciekawe w tem jest jedno: oto członkowie z pogrzebu jednej organizacji przechodzą do tworzenia drugiej, wiedząc zgóry, że jest ona nikomu niepotrzebna i że dni jej są policzone.

Dochodzi do tego, że modną staje się rzeczą zmienianie przynależności organizacyjnej, czyli przyzwyczajanie się do lekkomyślnego traktowania sprawy „społecznictwa“. Dzieje się to nawet w b. gęstej sieci związków, na Śląsku naprzykład.

Dlaczego jest tak źle z życiem organizacyjnym, dlaczego tak nikła wydajność pracy? Wydaje mi się, że istota niepowodzenia tkwi w nadmiernej ilości towarzystw, która powoduje rozproszkowanie energii poszczególnych pracowników, w braku odpowiednio wyszkolonych sił instruktorskich, co łączy się ze złymi metodami pracy, czasem (a może i często) z powodu niezrozumienia celu, któremu się służy.

Jakież na to lekarstwo?

Sądzę, że *wiedzieć dobrze, czego się chce, ograniczyć organizacje do mniejszej liczby, zależnej nie od przypadku lub kaprysu, ale od istotnej potrzeby; wychowywać dla społeczeństwa jednostki, wykształcić odpowiednią ilość fachowych sił kierowniczych zawodowej pracy społecznej, pozbyć się partactwa w działaniu społecznem.*

Nie wynika z tego, żeby na sposób amerykański uznawać tylko płatną pracę społeczną, ale wynika jedno: *obowiązek dobrej pracy społecznej*. Wiemy, że łatwiej zaczynać nową robotę, niż poprawiać złą.

Uważam, że lepiej dziś w Polsce nie pracować wcale społecznie, niż pracować nieudolnie, nieumiejętnie, bez planu i metody działania. Na szczęście, minęły czasy, gdzie nawet zła praca społeczna była lepsza od żadnej, bo i ze złej jeszcze odrobinę uświadomienia narodowego mas można było wykrzesać.

Dziś trzeba celowego, mądrego planu kształcenia i uświadamiania społeczeństwa, dziś robota zła i bezplanowa szkodzi, rodząc zniechęcenie, niedowierzenie do każdej uspołecniającej lub społecznej pracy.

Dlatego dziś uczyć się trzeba społecznictwa i uspołecnienia na kursach społecznych, w Uniwersytetach Ludowych (Dalki, Odolanów, Zagórze), przeszecepiionych przez ks. Antoniego Ludwiczaka z Danji do Polski, z książek, z przykładu pracy innych w kraju i zagranicą.

Musimy mieć pewną wiedzę w tej dziedzinie, jeśli zabieramy się do realizowania jej, i musimy wiadomości własne systematycznie pogłębiać przez wykształcenie ogólne i specjalne. Oprócz tego tajemnicą powodzenia jest podejście do ludzi, z którymi mamy współpracować, ze zrozumieniem, życzliwością, bez wyniosłości, stwarzającej przedział i brak zaufania, bez którego nie uda się żadna praca na serjo. Życie nasze musi być stwierdzeniem naszych zasad: nie wolno np. uczyć o oszczędności, będąc rozrzutną, o porządku i czystym powietrzu w mieszkaniu, zamykając szczelnie okna i konserwując brud i niechlujstwo.

Nie może powstać wśród tych, którzy nas słuchają, przekonanie, że to są piękne słowa lub rady dla biednych, zmuszonych dźwigać pracę ciężką, nędzne życie i przekłętą los.

Nigdy dość silnie nie będzie podkreślone znaczenie przykładu, żywego, bezpośredniego oddziaływania, skoro wiemy, jakie znaczenie w nabywaniu technicznej wprawy i obudzaniu sił moralnych ma naśladownictwo.

Metoda wykładu jest łatwiejsza, ale o ileż mniej korzyści przynosi! Słucha się wykładu, jak kazania w kościele, i rzadko się coś z tego pamięta, a jeszcze rzadziej bierze się za drogowskaz życia.

Kto nie wierzy, niech zapyta, będąc na wsi, a może i t. zw. inteligencji, o treść kazania lub wykładu, i niech obserwuje, jaki wpływ ma gadane słowo na życie ludzkie. Przekona się, że z ludzi wiejskich rzadko kto powie co innego, nad „Ładne było kazanie“, lub „brzydkie“, bo „ksiądz miał piękny i silny głos“, albo „prelegent wyraźnie i pięknie mówił“, ale o czem, tego się już nie wie.

Nic dziwnego, że potok słów się ulatnia i gadanie swoją drogą, a życie — swoją. Widzimy to zresztą przy wychowaniu dzieci, które z początku reagują na gderanie, krzyki, wymyślania rodziców i nauczycieli, bo podnieta jest nowa, niezwykła, ale b. szybko przyzwyczajają się do niej i przestają się tem przejmować („Nie rób sobie nic z tego! czekaj spokojnie, aż przestanie i rób swoje“).

Dlatego tak ważne są, obok wykładów teoretycznych, ćwiczenia praktyczne, stosowane nie tylko na uniwersytetach, ale w fabrykach, kopalniach, warsztatach i t. d. Pozatem każdy pracownik społeczny o tyle umiejętnie pracuje, o ile potrafi wychować spadkobierców swej idei, zostawić ludzi, przygotowanych do pracy: najbardziej egoistyczne, najgorzej przygotowane do życia są dzieci zbyt troskliwych rodziców; najbardziej bezradne organizacje, które nie wychowały jednostek, zdolnych do prowadzenia dalszej pracy; organizacje, gdzie panowały wykłady, rządy despotyczne, zamiast współpracy, dyskusji, praktycznych ćwiczeń.

Następców, współpracowników przygotowuje się tylko przez dopuszczenie do współdziałania w pracy, na drodze wolności i uszanowania samodzielności drugich. Czyli indywidualne wychowanie z wyrobieniem poczucia pełnej odpowiedzialności za pracę, a nie autorytet, despotyzm, nadmierna troskliwość kształcąca typ, przydatny społecznie i uspołeczniony.

Tacy ludzie będą tkwili w rzeczywistości polskiej i równocześnie będą tę rzeczywistość „worzyli przez „społecznictwo“, oparte na pracy serjo, pracy umiejętnej i celowej. Wtedy zniknie typ dzisiejszego niedołęznego „społecznikowania“. Odejda partacze, choćby mieli wiele ambicji, a może i dobrej woli, gdyż dyktantyzm ustąpi przed solidną, fachową robotą, budującą teraźniejszość i przyszłość...

Helena Spoczyńska.

M. H. SZPYRKÓWNA

## TRZEBA WEJRZEĆ

W roku ub. odbyłam podróż do Francji z parcją emigrantów i emigrantek, którzy jechali na zarobek, jak jedzie rocznie wiele i wiele tysięcy.

Ze sprawami emigranckimi zetknęłam się już dawno, podczas pobytu w Ameryce, gdzie z ramienia konsulatu prowadziłam pewien dział biura wychodźczego. Tam też poraz pierwszy uderzyła mnie głęboka niedola tych ludzi, którzy skazani byli na wszelką krzywdę i upośledzenie, w braku własnej władzy opiekuńczej przed wojną. Rosyjskie konsulaty, oczywiście, specjalnie macierzyńską tkliwością polaków na obczyźnie nie otaczały. Dopiero potem, kiedy, mówiąc popularnie (i czy nie cudowne to jest wyrażenie!?!...), „Polska wybuchła“ — władze nasze zaczęły centralizować w swoim ręku sprawy emigranta i zakładać działy kontroli i opieki, dla niego konieczne.

Nie zapomnę nigdy tych zbiedzonych, pokornych, szarych postaci, jakie zaczęły podówczas napływać nieprzerwaną rzeką do naszych biur. Jakież ostatni kres wyzysku i nędzy, jakież rozpaczliwy przykład bezbronności uczciwego robotnika, który chce i może pracować, dlatego tylko, że nie zna języka kraju, w którym jest, i że w kraju tym — przykro powiedzieć — na tej właśnie obczyźnie, najstraszniejszym jego wyzyskiwaczem i wrogiem jest właśnie ten, któremu uwierzy i do którego się zwróci o pomoc: rodak!... Polak, chytrzejszy, zażywszy, a zdemoralizowany łatwym łupem, jaki może zdobyć na naiwnym ziomku. Istnieje cała banda pośredników polskiego pochodzenia, bynajmniej nie zawsze zresztą polaków, którzy z tumanienia i wyzysku nowoprzybyłych robią intratny byznes. Sklepików podręcznych naprzeciwko każdego urzędu państwowego, do którego emigrant może lub powinien mieć interes, mnożą się legjony. Jest to „ofis“ takiego machera, który tysiącami wybiegami wylawia od prostaczków drogie dolary: a to na podanie, a to na wyszukanie rodziny przez ogłoszenie w pismach, którego nigdy nie da, a to przez sprzedanie udziałów w zyskownym przedsiębiorstwie, złotej okazji dla oszołomionego Bartka czy Macieja, na którą wyłoży swoje trudne, skape grosze — a która wogóle istnieje tylko na papierze.

Poszukiwać?... Daremna i syzyfowa zresztą praca w Ameryce, gdzie biur adresowych niema, a nazwiska zmieniają się, jak rękawiczki! Człowiek, który w New-Yorku kogoś naciągnął i mógł być oddany policji, związa wczasu swój sklepik pod szyldem Sama Hopkinsa i przenosi się bez hałasu do innego stanu z inną policją, gdzie zakłada inny sklepik, jako Jack Parkins. I szukaj wiatru w polu! Dla swoich wielkich kryminalistów Ameryka ma wielkie sposoby i wielką policję: ale o tych małych, szarych, głupawo płaczą-

cych, zamiast rzeczowej skargi, człowieczków, z którymi nie sposób się nawet porozumieć w jedynym języku ludzkim (naturalnie, jest nim dla anglosasa angielski!...) — któż o nich będzie zabardzo się kłopotał?! I krzywda emigrancka, złożona z małych groszy rosła długo w ogromne stopy dolarów, w wielką górę rozgoryczeń, na której dopiero rząd polski zatknął sztandar z orłem i powiedział: — Obronię!...

A oto jest kraj bliższy. Kraj sprzymierzony i leżący niejako o wyciągnięcie ręki, kraj, najeżony wzajemnymi traktatami i paragrafami, normującymi życie emigranta, jego pracę, płacę i warunki. Kraj, który powinienby być raczej rajem w porównaniu z daleką, obcą, zamorską Ameryką.

Czekałam na okazję wejrzenia osobiście w te rzeczy, aby mieć swój własny, poza-urzędowy, niezaparagrafowany i niezobowiązany do przemilczeń i dyskrecyj sąd o sprawie emigracji francuskiej, co do której jakieś głuche fermenty kazały zawsze mieć się nieco na baczności. Skorzystałam z niej, skoro się okazała możliwą, skwapliwie. Nie jest to okazja szczególnie atrakcyjna, bo, jak w danym wypadku, obejmuje podróż trzydniową w jedną i drugą stronę, z emigrantami trzecią klasą (i to jaką trzecią!...), z wieloma małymi i większymi kłopotami, jakie z opieką nad nimi, o ile istotnie ją się wykonywa, są związane, i bardzo kłopotliwą, a dwa dni trwającą, chwilą przekazywania przywiezionej partji władzom francuskim na miejscu. Dlaczego kłopotliwą — będzie potem.

Otóż pobyt w obozie koncentracyjnym dla polskich emigrantów (nie w samym obozie, gdzie polskie władze nie mają ingerencji, ale w punkcie wylądowania i ekspedjowania emigrantów, na stacji) — dał mi pole do raczej posępnych refleksyj. Jak na kraj sprzymierzony, moglibyśmy oczekiwać więcej! Ale nie mogłabym tego wymagać dotąd, dopóki i sami dla swoich przecież wychodźców więcej nie zrobimy. Nie mówię o obozie koncentracyjnym w Mysłowicach, skąd robotnicy są wysyłani: jest właśnie o wiele lepszy. A polskie instytucje, tam wegetujące w obrębie obozu, żeby już nie wymieniać dokładnie, przynoszą już nie ujme, ale wprost — dyskredytują nasze rządy administracyjne. To spelunka, nie przytułek!... Dalej, sam proces przewożenia. Obozowe władze są już bardzo wprawne w ładowanie i wagonowanie ludzi, i obóz w tym względzie ma bardzo szczęśliwe warunki: tunel wprost z terenów obozowych prowadzi na peron. Głuche wieści głoszą, że niegdyś — a bardzo niedawno — służył on dla przeprowadzania handlu kobietami, gdyż tereny te należały do znanego hurtownika tej branży, który tunelem odstawił ofiary wprost

do wagonu, dla uniknięcia kontroli: bardzo prawdopodobne! W każdym razie dziś tunel ten odrabia swoją złą sławę służbą lepszej. Ale bynajmniej, bynajmniej nie idealnej! Jeżeli żywy towar nie może tu już mieć zastosowania, to zato — została żywa maszyna. Idą od nas robotnicze ręce, aby gdzieś kręcić jakieś koła, maszyny, turbiny i transmisje po górniczych warsztatach i kopalniach. Za pieniądź! Oczywiście. Emigracja nie powinna wcale być uważana za plagę, wprost przeciwnie! Jest to nadprogramowa, a więc pożądana możliwość zarobku. Ale, na miły Bóg! trzeba ją obstarwić odpowiednio, aby nie męczyła człowieka jeszcze przedtem, nim pracę rozpocznie, tak, że do niej nie jest zdolny i dostaje znacznie gorsze warunki, niż może i powinien mieć!...

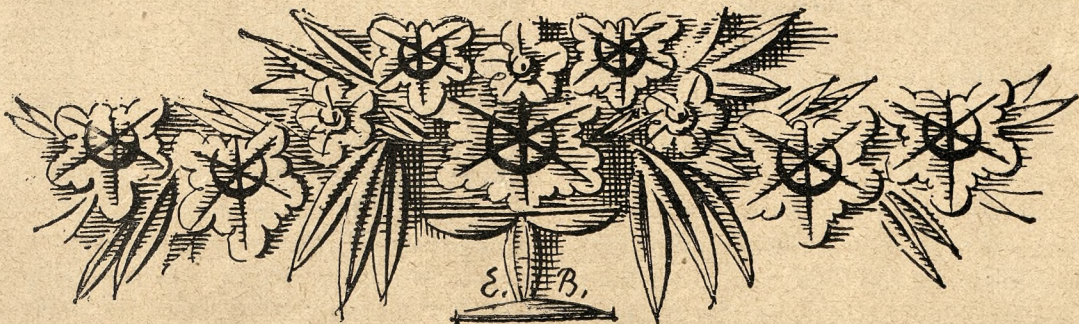
Jechałam sama z nimi tak, jak jechali oni, i dobrze się przyjrzałam, jak wyglądali po przybyciu do obozu francuskiego, gdzie są kwalifikowani i segregowani: mam o tem swoje zdanie, i to nie jest już tylko winą dyrekcji francuskiej: polskie władze to widzą na miejscu, w Polsce, i muszą — powinny interwenjować! Tak można pakować sardynki i śledzie, ogon do głowy, żeby było ściślej: ale niepodobna w ten sposób lokować ludzi, którzy nie są marynatą do jedzenia, tylko siłą roboczą do kwalifikowania, i, wyladowani z wagonu, idą na ciężki trud!

Szczególnie boleśnie odczuwają podróż, naturalnie, kobiety, jadące z dziećmi. Trudno sobie wyobrazić, jak wygląda taki wagon po kilkunastu godzinach podróży, kiedy człowiek dorosły nie może się nieraz przedostać przez toboły i paki, a już mowy niema o dzieciach. W wagonie jest, jak wiadomo, jedna toaleta, i, jak również wiadomo — ta jedna nie ma nigdy wody. A w jaki sposób utrzymać względnie bodaj czysto dzieci, które w zaduchu i brudzie poniewierają się po zanieczyszczonej podłodze, raczkując pomiędzy butami dorosłych, co, oczywiście, na dobre im nie wychodzi? Mowy niema o gorącej wodzie do obmycia lub przeprania, mowy niema o jakiegokolwiek, najkonieczniejszej higjenu. A po przybyciu na miejsce bynajmniej nic się nie poprawia: jedna poczekalnia dworcowa musi tak samo zadośćuczynić potrzebom tysięcznej rzeszy emigrantów. Jest to urągowisko

i szykana, jeżeli nie bezmyślność — przypuszczenie o wiele prawdopodobniejsze.

Zanim emigrantów rozsegregują i dokonają odpowiednich formalności, mija parę godzin oczekiwania, tak samo, jak przed ich wysłaniem na odpowiednie placówki zarobkowe, co następuje zwykle nazajutrz. Ten czas oczekiwania spędzają na dworcu, a ponieważ miejsce naturalnie jest ograniczone, olbrzymia reszta obozuje z kobietami i dziećmi na dworze przed dworcem. O ile czas jest łagodny, można to znieść — ale istnieją deszcze, mrozy i zimy, istnieje jeszcze droga do kolejki dojazdowej i od niej, odbywana pieszo przez wszystkich, a mężczyźni muszą wogóle całe cztery kilometry odrobić pieszo, po męczącej drodze kolejną, po niewyspaniu, z ciężkimi tobołami, które przechowalnia dworcowa przyjmuje bardzo niechętnie. Poprostu, dworzec nie jest w żadnej mierze przygotowany na potrzeby emigracyjnego ruchu, gdyż wymagałoby to kosztów i przeróbek, aż do przedłużenia o cztery kilometry toru włącznie — i nikt się z tem nie kwapi.

Mam nadzieję, że od czasów mojej podróży nastąpiły jakieś pertraktacje w tej dziedzinie, bo zresztą od siebie w raporcie do władz wymieniłam jaknajobszerniej wszystko, co mi w oko wpadło, a zapewne opuściłam znacznie więcej. Ale jedyną otuchą w tym raczej przykrym stanie rzeczy jest fakt, że istnieje tam z ramienia polskich władz Opieka Polska, pod kierownictwem p. Biedrzyckiej. I z krótkiego nawet mego wglądu w tę sprawę mogę z całym przekonaniem podkreślić, że jest to największy atut, jakim tam rozporządzamy, niezależnie od wielkich umów i traktatów, które często żyją głównie na piśmie: ta żarliwa, gorąca, dbała i czuła na wszystkie nędze polskiego robotnika na obczyźnie opieka, która ujmuje się za jego nędzę i trudy z całym oddaniem prawdziwie współczującego, do głębi oddanego służbie dla sprawy, serca. I w budżecie państwowym, obejmującym od czasu do czasu tak przedziwnie nieuchwytne pozycje, głosowałabym frenetycznie za tem, aby ta właśnie rubryka znalazła szersze i pewniejsze uwzględnienie — jako bezzawodnie żywa i czynna pośród wielu martwych de facto paragrafów emigracyjnej ustawy.



ZOFJA ZAWISZANKA

## GWIEZDNE SYGNAŁY

Najbardziej przejmująca rzecz w świecie,  
To dygotanie niestrudzone  
Światel na wysokościach, w głębi nocy —  
Migocą — falują — płoną — —

Czy widzicie? Czy rozumiecie?  
Niemasz od tych sygnałów uciezki, ni osłony...  
Może to sam Bóg ostrzega nas, czy woła,  
Zagarnia złotą siecią i oplątuje dokoła — —  
Czy — rozrywa naszej pomocy?...



HERMINJA NAGLEROWA

381

## ZAWALIDROGA

(powieść)

Turkot maszyn ogłuszył go w przedpokoju, więc nie dosłyszał pierwszych słów matki. A potem wszystko jakby się rozlało w wymówkach. W tem, co mówiła matka, nie było jednak nic z niepokojów i wzruszeń, zapewne wyolbrzymionych w relacjach Marty. Matka lajała go, jak niegrzecznego chłopca, który nie chce słuchać starszych i płała niemądre figle. Może mu jeszcze karę wyznaczy, jakieś „o chlebie i wodzie“? Nic, nic nie pojmowała z tego, co się w nim działo. Wiedziała tylko jedno, że sprawia jej kłopoty, że coraz trudniej z nim sobie poradzić. Jakgdyby był tylko poto, aby zjadał śniadania, obiady i kolacje, na które ona „ciężko pracuje“. Do niczego innego nie miał prawa w jej domu, nikt się tu nie będzie liczył z jego chęcią i niechęcią. Ważniejsze napewno były te maszyny, które tak zuchwale trajkotały, że trzeba je było przekrzyczeć, aby jednak usłyszała odpowiedź syna:

— Jestem już dorosły, nie możesz mnie tak traktować, jak dziecko.

Weszła z nim do jego pokoju. Ciepło objęło go, niby serdeczne ramiona, asparagus najeżył się radosną zielenią, a łóżko, równiutko załane, oślepiało bielą koronkowej kapy. Oh, oburzał się na siebie za to, że czuł się w tej chwili szczęśliwy, że właśnie ten dom, ten jego pokój był tak ważny i konieczny dla niego. Jakby jasna łukowa lampa oświetlała te czyste, kremową tapetą obite ściany. Ale tu dopiero, w tem jasnym świetle dnia zobaczył wzburzoną twarz matki.

— Zamiast mi ułatwić, zamiast pomóc...

— Jestem już dorosły — upierał się — potrafię sam na siebie zarobić. Już nie chcę, nie chcę, żebyś ty...

Nie mówiąc prawdy, robił niejako ustępstwo i całą sprawę przesunął na inną płaszczyznę, bo jednocześnie stwierdzał: — Tu jest mi dobrze, tu jest mój

dom. — Więc też zwolna zlagodniały słowa i matka ściszyła głos, aby doszło wreszcie do porozumienia.

— Może zbyttno się wtedy uniosłam, bo nie chcesz zrozumieć, że w życiu potrzebny jest kompromis. Zanadto ulegasz impulsom i nie pozwalasz sobą kierować.

Franek pomyślał, że znowu zastrzykuje mu dawkę sentencyj, aby go obłaskawić, jak furjant. Najchętniej zarzuciłaby na niego kaftan bezpieczeństwa, albo ułożyła do snu w tem białym łóżeczku: Śpij, moje dziecko, zamknij oczęta... Gromadziły się resztki gniewu i oburzenia, niczem barykady, ale w sam czas wywołała matkę jakieś płaskonose dziewczęcę od maszyny. Odchodząc, powiedziała troskliwie, żeby się przebrał, bo wygląda, jak włóczęga.

— I bardzo cię proszę, załatw to jakoś z panią Olą.

Napewno myślała, że go już poskromiła i że będzie teraz jadł z ręki! Usłyszał jej głos i śmiech, więc może naprawdę się cieszyła, może była szczęśliwa, że wrócił? Przyłożył ucho do ściany, aby słyszeć, jak o tem mówi, ale mur już znowu nasiąkł bełkotem maszyn i nie należało się łudzić. Rządziły tu podawnemu wygadane i nadewszystko ważne maszyny pani Oli.

XXXVII.

Wyznając Wawarowi swoją hańbę — bo czemuż był ten powrót do matki? — oczekiwał uragliwej prawdy, ale okazało się, że Wawar był praktyczny i rzecz rozważał realnie. Wikt i opierunek — to przecież coś warte i nieinaczej trzeba się odnosić do tej tragifarsy. Poprostu wyprał całą sprawę z uczuciowych barw i nawet te girlandki, splecione z ambicji, wiodły od chłodu Wawarowych racyj. Mimo to nikt

chyba tak nie rozumiał Franka i tyle mu w tych dniach nie okazywał serca. Wawar robił to wprawdzie trochę niezręcznie, niby głaszcząc niedźwiedzią łapą, ale, raniąc, jakby przywracał człowieczeństwo. Bo Franek, ponizony sceną przeprosin z Ołą, pławił się teraz w domowych łaskach.

Tak, nie można było po tem groteskowem wydarzeniu mieć zbyt wiele szacunku dla siebie. Franek wiedział przecież dobrze, że w domu przegrał. Był tam malutki i przyciszony, niemal już wytresowany i właśnie dlatego zbierał łaski od wszystkich. Aż za dużo było tych uprzejmości — od miłych uśmiechów matki począwszy, a na przysmakach Marty kończąc. Dławił się tem wszystkim, jak gęś, którą tuczą, ale posłusznie przyjmował wzmogoną opiekę i nawet wobec Oli udawał szarmanckiego, choć drażniła go flirtową prowokacją. Były to oczywiście drwiny, któremi potrochu bawiła się matka, pomagając Oli w „naciąganiu“ Franka. Tak go tu obsypywano puchem słów miękkih i łaskotliwych, że jakkolwiek się bronił — z humorem, czy z powagą — zawsze ponosił klęskę, skoro trzeba było zachować pewne formy, aby nie przekroczyć granic, wyznaczonych przez matkę. Wzrok matki czuwał nad każdym jego gestem i każde jego słowo było kierowane jej wolą, niby uwiązane nitką, tańczące pchły. A właśnie Franek pragnął, żeby jego słowa umiały ciąć do krwi i żeby ich znaczenie było dwojakie — niby niewinne, a dotkliwe. W rezultacie trzeba było jednak stwierdzić, że niezręczność przewalutowano na głupotę, a srebrzysty dźwięk śmiechu był zapłatą za naiwność. Stawał się więc nieśmiały i nawet przed sobą samym skryty. Bo jaką sobie mógł powiedzieć prawdę, jak wszystko już najgorsze o sobie pomyśleć?

Senny i stępiaty przechodził odrazu w stan podniecenia podczas rozmów z Wawarem. Bywał wtedy tak samo nieprawdziwy, bo zanadto zuchwały i pewny siebie. Zaciętrzewiał się w sprzeciwie, walcząc o urojone sprawy, jakgdyby szło o życie i śmierć. Niby to bronił „niezależności sądu i zdania“, ale z tych obronionych i utraconych pozycji wynosił swoją wartość, jak sanitariusz rannego. Jeszcze trochę tchu w piersi, aby wiedzieć, że się żyje, choć krew z żył wyciekła i nie czuje się już nawet bólu zadanych ran. I znowu, jak gerylas, podrywał się do walki, uderzał, brał ciosy, nużył przeciwnika.

W tym czasie właśnie Wawar wystarał się o pracę dla Franka. Powiedział:

— Tego ci potrzeba, żebyś się nie zmarnował.

Franek został więc korektorem w „Kurjerze“ Około jedenastej w nocy przychodził do drukarni i

siadał przy stole, przypartym do wysokiej ściany, czarnej od brudu. Mokre zwitki rozklejały się, jak milczące wargi, ślad chemicznego ołówka nabierał fioletowej barwy, a korektorskie znaki nabrzmiewały od wilgoci, niby lodygi, wetknięte w wodę. Franek wiedział już, co się działo za jego plecami przy szachtach, jak palce zecera sięgają po czcionki, niby głodne dzioby po ziarna, a pod przeciwległą ścianą posępny metrapaź klaszcze ołowianemi sztabkami i sznurem krępuje „kolumny.“

W pierwszych dniach przychodził wcześniej i natrętnie wypytywał o każdy szczegół. Nie bardzo tu uważany, nigdy nie doczekał się wyczerpujących informacji, ale tak już własnymi oczyma wybierał fragmenty pracy, poznał jej porządek, przekazywany z rąk do rąk. Nie sięgał zresztą do jej dalszej celowości, bo nic go zrazu nie obchodził sam dziennik, a tem mniej funkcja, jaką może ten dziennik spełniał. Praca drukarska była już sama dla siebie racją i celem. Najpierw zasiewała się czcionkami w swój własny kształt, potem urastała do określonych rozmiarów, zamknięta w szpalty żelaznymi granicami, które daremnie starał się przekroczyć sens zdań. W przyległym pokoju praca zdawała się zawsze żywa i gorąca w biegu linotypów. Szeleściła tu metalicznie, skandowała swoją rytmiką, szczyrzyła zęby, jak bezwargi potwór, kipiała ołowianą krwią. Zakrzepłe, od tchu ognia jeszcze parzące sztabki świeciły się srebrem, jak zwilżone śliną, i tylko krostkowaty grzbiet znaczył się jakimiś słowami, jakąś nieodeczytaną i niepotrzebną mową.

Kiedy chropawą kolumnę, iskrzącą się literami, nasycano czernidłem, a szcotka waliła głucho, jak tłok, przyklepujący ziemię, zdawało się, że to nie tu, a gdzieś w polu, w ogrodzie pracują grządka po grządce. Czernidło drukarskie pachniało, jak polne narzędzia, i na chwilę narastała buremi barwami ziemia, jako coś własnego dla pamięci i serca. W zabłąkanej myśli przepadały błędy odbitek, skoro oczy były omylne zjawą. Wreszcie zwinięte w półwalce matryce, trwałe i nieodwołalne, szły na maszynę i huk wstrząsał całym domem, choć właśnie błady, wątlły świt rozjaśniał szyby i ściszał pracę drukarzy.

Wawar, który w małym pokoiku po drugiej stronie kurytarza adjustował telegramy, przychodził od czasu do czasu do drukarni, płał się między kasztami, przystawał nabożnie koło linotypów, albo obwieszczał jakieś nowiny z dalekiego świata. Zjazdy, katastrofy, dyplomatyczne matactwa — cokolwiek się gdzieś zdarzało, przynosił zaspiany, zbiedzony chłopak z ajencji, dmuchając parą, jak mała lokomotywa.



JADWIGA KRAWCZYŃSKA

## MURY, PIEŚNI I STROJE STAREJ PRAGI

(Korespondencja własna „Bluszczo“)

Stare tło, stare czasy — nowe obrazy, nowe życie. Zabytki nie szkodzą, lecz dodają uroku temu, co idzie, co się tworzy. Dobrze, że wśród pędzących naprzód fal są niewzruszone, zaciszne, zakonserwowane wyspy czasu na morzach historii...

Nienowa i po wielekroć już przeżywana myśl nachodzi mnie uporeczywie, gdy zwiedzam stare miasto w Pradze Czeskiej.

W uliczkach, stromo spadających, na stokach, uwieńczonych Hradczynem i tumem św. Wita, panuje wciąż jeszcze wiek XVII. Nic to, że miasto odnawia pałac Lobkowitzów i, kto wie, jaką instytucję użyteczności publicznej tam umieści — nic to, że garaż samochodowy betonową ścianą przytroczył się do jakiegoś muru, w pobliżu cudownego zacisza placu Kawalerów Maltańskich; nic to, że w starych sieniach i na podwórzach, podobnych do podwórzy Starego Miasta w Warszawie, kręcą się ludzie dzi-

siejsi. Pozostało tu, jak było, i dzwoniący na dole tramwaj jest nic nieznaczącą dla ucha odmianą dzwonek, jakie rozbrzmiewały ongi w licznych tutaj klasztorach, zmienionych na sierocińce, szkoły i instytucje miejskie lub państwowe.

Za pięknymi bramami, rzeźbionymi w kamieniu, uwieńczonymi przez stiuki, za ciężkimi, starodawnymi drzwiami dębowymi lub kutymi w żelazie, żyją ludzie dzisiejsi i co chwila z bram wybiegają dzieci, bezpiecznie kręcące się po cichych uliczkach, do których rzadko kiedy dociera wóz lub samochód.

Atmosfera przeszłości przyjaźnie godzi się z życiem ludzi współczesnych. Postawili na ulicach latarnie gazowe, wnieśli do starych domów swe ulepszenia i wynalazki, swoją elektryczność i radio. Zmieniły się okna — powiewają w nich świeże, przejrzyste firanki, z za których wychylają się głów-



Stroje ludowe na Morawach (okolice Blatnicy).



Para gospodarzy na Morawach (okolice Konumiru).

ki kobiece z swobodnie obciętymi włosami. Dźwięczy skądś melodia modnego bluesa.

Gdzież kult dawnych ciemnych zasłon, kryjących życie rodzinne wnętrza przed okiem świata? gdzież przystojność tradycyjnego czepeczka, kryjącego ciężkie warkocze kobiet? gdzież nuta rodzimej piosenki?

Otóż do uroków dzisiejszej Czechosłowacji, tak par force rwącej się naprzód w pochodzie postępu — należy, iż stare tradycje artystyczne i obyczajowe podtrzymywane są nietylko z obowiązku i z rozsądku, ale entuzjastycznie, żywo, fanatycznie...

Aby stare piękno nie przypadło — znajduje się sposoby nadania mu nowego wdzięku.

Nie znikł więc i śliczny, starodawny czepeczek czeski z włosów garsonki...

Istnieje w Czechosłowacji, po wsiach, w miastach i miasteczkach stowarzyszenie młodzieży, które za cel wzięło sobie kultywowanie strojów narodowych i ludowych, uprawianie tańców i pieśni, przekazanych przez wiekowe tradycje.

„Krajowa Drużyna“ organizuje kluby młodzieży, w których co niedziela i święto, przy okazji uroczystości narodowych i lokalnych, odbywają się tańce i śpiewy w strojach narodowych. Na wsi do



Młoda mężatka z okolic Bratislavy.



Ubiór kobiecy na Słowaczczyźnie.

kościół młodzież drużyniacka przywdziewa również ludowy ubiór.

Przy zabawie, wśród wesolej rozrywki utrwała się kult narodowych zwyczajów i piękna niezwykle oryginalnego. Młodzi bawią się chętnie. Pełne temperamentu tańce i piosenki wchodzą w krew i kulturę codziennego obyczaju.

Jest to bardzo liczna organizacja, i, patrząc na wysoce artystyczne wykonanie tańców i pieśni, na bogate stroje młodzieży drużyniackiej — nie można bez melancholji myśleć o tem, że już tylko w dalekich wioskach pod Krakowem i w lasach kurpiowskich, w łowickiem i na Podhalu można zrzadka oglądać zabytki stroju ludowego i coraz nikle brzmi smętna melodia rodzimej, z ziemi wyrosłej, pieśni.

Ze zaniedbano u nas skarbnicę ludowego piękna.

A czyż trudno byłoby ją ożywić w świetlicach młodzieży, w organizacjach oświatowych na wsi i w mieście?

Drużyna młodzieży praskiej, którą miałam mi-



łą sposobność widzieć przy zabawie, popisywała się tańcami „Czeskiej Besedy“ i „Słowackiej Besedy“. Tak nazywają się cykle tańców czeskich i słowackich, przypominające tu i ówdzie nasze krakowiaki i mazurkowe hołupce. Tanecznym krokiem inscenizowane piosenki bardzo ładne i zabawne. A do tego stroje, kapiące haftami, wstęgami, kwiatami, tęczą barw...

Kroje i wzory brane są ze starych modeli, kopjowane pracowicie w praskim Muzeum Etnogra-

ficznem. Z podziwem oglądałam fartuszki i koszulki, wyszywane nićmi i koralikami, subtelne koronki i niezwykle oryginalne czepeczki. Wszystko to dzieło rąk własnych młodych prażanek.

Zapytałam jedną z nich, ile czasu poświęciła na wyhaftowanie naprawdę przebogatego fartuszka. Odpowiedziała, że trzy miesiące. Odpowiedziała w zupełnie poprawnej francuszczyźnie — widocznie chciała zaznaczyć, że tradycyjny strój chłopski może iść w parze z europejską edukacją.

K. ADAMOWICZÓWNA

## PANI GEOFFRIN

*w śmieltle listóm i pamiętnikóm Stanisława Augusta.*

Wśród licznych portretów pań saskiego i stanisławowskiego dworu, rozwieszonych na ścianach łazienkowskiego palacu, znajdują się dwa małe portrety: p. Geoffrin i jej córki, markizy de la Ferté Imbault — puścizna po Stanisławie Auguste.

O p. Geoffrin wiedzą wszyscy, że była sercu królewskiemu bliską, ale nie więcej, a jest to postać ciekawa, ta córka dworskiego lokaja, którą St. August nazywał „chère maman“, a ks. Kaunitz gościł w Wiedniu. Postać ciekawa, nie ze względu na wielkie zalety urody lub umysłu, bo tych nie posiadała, ale ze względu na spryt, któremu zawdzięcza swoje stanowisko, nie tylko w Paryżu, ale i zagranicą.

Marja Teresa Rodet, urodzona w Paryżu 1699 r., osierociła bardzo wcześnie. Edukacja jej ograniczyła się do nauki czytania, bo takie wychowanie było najodpowiedniejsze dla kobiety, według mniemania jej opiekunki-babki. Na usprawiedliwienie tej dosyć, jak na XVIII wiek, ciasnej teorii wychowawczej, dodać należy, że dawano młodej Teresie wiele do czytania, nasuwając jej w ten sposób materiał do rozmyślań. Życie dokonało reszty.

Wyszedłszy zamąż za Pierre François Geoffrin, założyła manufakturę luster, Teresa Rodet pozyskała wprawdzie doskonały byt materialny, ale nie wzniosła się kulturalnie, bo mąż jej był zwykłym petit-bourgeois, o tak małej inteligencji, że, czytając podsuniętą mu kilkakrotnie książkę, zauważył wreszcie, iż autor jest bardzo zajmujący, ale „trochę się powtarza“.

Jak małą rolę odgrywał ten mąż w życiu p. Geoffrin, świadczy najlepiej fakt, że, zapytana w jakiś czas po śmierci męża przez jednego ze stałych gości, co stało się z milczącym człowiekiem, który siadywał w końcu stołu, odrzekła: „c'était mon mari, il est mort“.

Tak samo stosunki z jedyną córką są czysto zewnętrzne, bo te dwie kobiety pasowały do siebie, we-

dlug słów samej p. Geoffrin, „jak karp i koza“. Ze względu na chłodny stosunek do najbliższej rodziny, możnaby posądzić p. Geoffrin o oschłość serca, a jednak tak nie było — p. Geoffrin posiada licznych i wiernych przyjaciół, których zjednała jej dobroć serca, bezinteresowna uczynność. Z tą dobrocią serca łączy p. Geoffrin wiele sprytu, taktu, a przede wszystkim ogromną znajomość ludzi. Te zalety charakteru pozwalają jej stworzyć w swym domu środowisko odpowiednie dla najoświecieńszych epoki.

W salonie p. Geoffrin są omawiane wszystkie kwestje aktualne, zagadnienia filozoficzne, literackie, artystyczne, polityczne. Gospodyni sama rzadko zabiera głos, od czasu do czasu rzuca jakąś uwagę, pełną dowcipu, nasuwa nowy temat, lub zmienia dyskusję, gdy ta zaczyna wkraczać na tory drażliwe dla kogoś z obecnych. P. Geoffrin, dzięki swej doskonałej znajomości ludzi, umie odpowiednio ugrupować swoich gości — zaprasza osoby sympatyzujące z sobą, mające wspólne zainteresowania i dążności. W poniedziałki, na obiadach przyjmuje artystów-plastyków, w środy — uczonych, literatów i poetów; wieczorami — arystokrację i cudzoziemców. Po za oficjalnymi dniami przyjęć codziennie jest ktoś z bliższych znajomych: La Harpe, Diderot, d'Alembert, Thomas Marmontel i inni.

Goście p. Geoffrin, a zwłaszcza ci, którzy stanowią chlubę jej salonu, doskonale zdają sobie sprawę, że intelektualnie stoi ona od nich znacznie niżej. Król St. August pisze w swych pamiętnikach, że p. Geoffrin nie pozwalała mu brać udziału w obiadach artystycznych, ponieważ nie chciała dać mu poznać, że goście jej często „nie byli z nią jednego zdania“. Równie mało pochlebne świadectwo jej wiedzy wystawia Montesquieu, chociaż był jej przyjacielem. To krytyczne zapatrywanie się przyjaciół p. Geoffrin na jej wiadomości, nie zmniejsza ani sławy jej salonu, ani szacunku, jakim jest otoczona do śmierci.



Pani Geoffrin — kopja portretu Nattier'a. — Pałac w Łazienkach.

Voltaire zasypuje ją listami, a Katarzyna II pragnie gościć w Petersburgu, oczywiście, nie przez sympatię bezinteresowną, bo tą carowa nie rządziła się nigdy, ale dla podniesienia świetności swego dworu.

Najgorętszą przyjaźnią, graniczącą prawie z uczuciem miłości macierzyńskiej, darzy p. Geoffrin St. Augusta. Gdy młody Poniatowski przybył do Paryża, p. Geoffrin, zaprzyjaźniona z jego ojcem, opiekuje się nim, jakgdyby był jej synem. Jak żywą i bezceremonjalną była ta opieka, świadczy urywek z pamiętników króla: p. Geoffrin dowiedziawszy się o tem, że St. August w obecności jednego z dostojników francuskich pochwalił jego nieprzyjaciela „wzięła się pod boki” i nazwała go „grosse-bête” (gapiem). Wiele podobnych nauk otrzymał młody Poniatowski w czasie swego pobytu w Paryżu. Są one nietylko dowodem troskliwej opieki, ale niestety i mało wytwornych manier p. Geoffrin, chociaż była dzieckiem XVIII wieku.

Po wstąpieniu na tron St. Augusta, oczywiście stosunek p. Geoffrin do jej przybranego syna uległ zasadniczej zmianie. P. Geoffrin, z afektacją, właściwą wiekowi XVIII-mu, pisze: „Vous êtes ma S-te Trinité”, a w odpowiedzi na przysłany portret (pendzla Bacciarellego): „Me voilà en Votre présence pour le reste de ma vie”.

Korespondencja, trwająca trzynaście lat, aż do śmierci p. Geoffrin (1777), jest bardzo żywa i serdeczna. Król pisze o sprawach politycznych, domowych, a przede wszystkim artystycznych, bo p. Geoffrin pośredniczy w nabywaniu dzieł sztuki, przy-

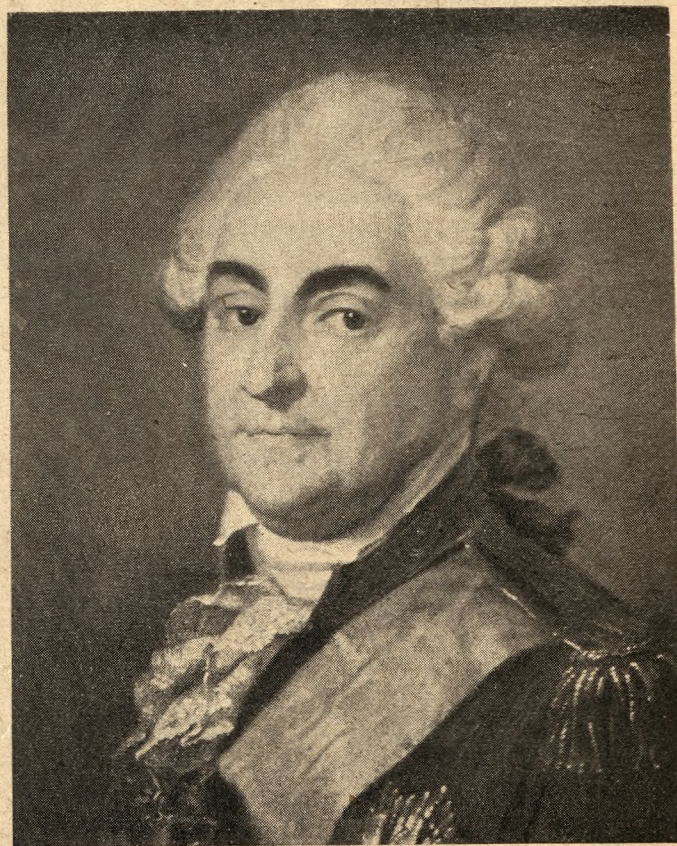
syla królowi artystów, opiekuje się jego stypendystami.

Punktem kulminacyjnym tej przyjaźni jest przyjazd p. Geoffrin do Warszawy. Było to wielkie poświęcenie z jej strony, ale miłość dla St. Augusta, a może i miłość własna, zwyciężyły lęk przed trudami podróży.

Mimo serdeczności, z jaką król przyjmował swoją „chère maman”, wizyta ta wpłynęła ujemnie na ich wzajemny stosunek, bo niechętni królowi Czartoryscy zaszczerpili w sercu p. Geoffrin żal do króla o zbyt małe uznanie dla jej gustu artystycznego. Po powrocie do Paryża listy p. Geoffrin są pełne źle tajonego żalu: król tłumaczy powody nieporozumienia, przeprasza, ale napróżno; dawna serdeczność wraca dopiero w ostatnich listach p. Geoffrin, pisanych już ręką jej córki.

Dokoła p. Geoffrin nie osnuła się żadna intryga miłosna, to też wydaje się ona obcą, szarą na tle epoki Ludwików, faworyt królewskich i rozbawionego Trianon Marji Antoniny.

A może i jej młodość płynęła burzliwą falą złotych uśmiechów, wzruszeń serdecznych, afektów płomiennych? Wszak na portrecie Nattier'a uśmiecha się radośnie i patrzy na świat rozbawionymi oczami kobiety francuskiej XVIII wieku. Tylko, że my ją znamy szarą, taką, jaką przekazał historii jej królewski syn przybrany.



J. Pitschman — Portret Stanisława Augusta. — Muzeum Narodowe w Warszawie.



## TEATR NARODOWY.

„Bal w obłokach” — komedia współczesna w 5 aktach Stanisława Miłaszewskiego. Reżyserja J. Węgrzyna. Dekoracje W. Drabika. Ilustracja muzyczna Jana Maklakiewicza.

Tytuł inteligentny, albowiem całkowiec odpowiada treści i zgóry odpiera wszystkie możliwe zarzuty. „Powiecie, że jestem niekonsekwentny” — zdaje się mówić autor — „że psychologja moich bohaterów jest sterczykiem, bujającym w atmosferze sztucznych, cieplarnianych stosunków, nie wrosłym korzeniami w podłoże istotnej polskiej współczesności. Zgoda! Przecież to tylko „Bal w obłokach”, a nie rzeczywistość”.

Te fantastyczne obłoki ratują sytuację. Bo gdybyśmy wszystko, co jest w tej komedji, brali à la lettre, gdyby całe nasze ziemiaństwo składało się z takich donżuanek, jak pani Laura, z takich dyletantów życia, a fachowców kochania, jak Jerzy, wreszcie z takich przemilych, ale mazgajowatych pantoflarzy, jak Bogdan — to należałoby jaknajprędzej przeprowadzić reformę rolną, aby udostępnić posiadanie ziemi krwawo na niej pracującym, bezdomnym i bezrolnym Chróścielom i Ludkom.

Bezwątpienia, autorowi bynajmniej nie chodziło o taki sens moralny sztuki, niemniej jednak nasuwa się on mimowolnie widzowi, mierzącemu etyczną wartość bohaterów sprawdzianem ich realnych czynów, nie zaś poetycznymi zobowiązaniami autora. Pomimo krytycznej, chwilami nawet sarkastycznej postawy jego wobec stworzonych przez się postaci, ma on dla nich w gruncie rzeczy pobłażliwe oko, przebacza im wiele, bo „wiele ukochali”, i zapomina, że są to w gruncie rzeczy sympatyczne walkonie, którzy poza miłostkami i flirtem umieją tylko gapić się na księżyc i pięknie deklamować o naturze i miłości.

Wyjątek stanowi dwoje ludzi: Ludka i Chróściel; aż się proszą, żeby z nich zrobić parę — dwa mocne filary, podtrzymujące sklepienie przyszłej Polski rolniczej. Nic z tego! Ludka woli papinkowatego Jerzego, biedny Chróściel zostanie na koszu — potrzebny był tylko poto, żeby zbudzić zazdrość w wyfraczonym obieżyświacie i pójść precz (nie dziwnego! cały czas chodzi w długich butach); nawet autor gdzieś go zgubił między księżycem i salą balową i nie zatroszczył się o najdzielniejsze swoje dziecko, o człowieka pracy — może w myśl zasady, że tacy zawsze dadzą sobie radę.

I to jest może najpoważniejszy zarzut w sprawie niezbędności wszystkich postaci działających, w sprawie ich mocnego związania wspólnym węzłem komedjowym. W kontredansie miłosnym Chróściel był piątym kołem u wozu, zgubiono go na pierwszym zakręcie. Konflikt między nowoczesną Telimeną a Zosią, między lwicą a pszczołką, rozwiązany został pogodnie i pomyślnie dla nowoczesnego Hrabiego, czy Fantazego.

Czy dzielna Ludka nie będzie musiała całe życie harować na jedwabną bieliznę i angielskie garnitury dla Jerzego, czy zacny Bogdan po kilku latach małżeńskich rozkoszy nie umrze na kamienie żółciowe z zazdrości o swą magnifikę — mniejsza o to. Odprowadziliśmy tę czwórkę do ołtarza, szkoda, że nie możemy być na weselu pani Laury z czwartym mężem

i wysłuchać depezy, którą napewno przyśle jej pierwsza, cudownie ocalona ofiara: „Winszuję czwartego, życzę piątego. Pierwszy”.

Sztuka jest napisana wierszem, co stanowi zarówno jej słabość, jak siłę. Pięknej poezji, tak jak pięknej kobiecie, wiele się wybacza. Natomiast rytm, rym i asonans gubią się niejednokrotnie w dialogu, albo go niepotrzebnie zahaczają. Miłaszewski jest wirtuozem mowy wiązanej, czego dał dowody w nieporównanym przekładzie „Don Juana” Zorilli, więc bierze przeszkody ze swobodą wytrawnego jeźdźca; czuje się jednak, że te przeszkody są.

„Bal w obłokach” był wyreżyserowany z pietyzmem i koncertowo zagrany. Ćwiklińska stworzyła typ stuprocentowej czarującej kapryśnicy, której z rozkoszą dają się tyranizować mężczyźni. Gorczyńska w roli Ludki, niezupełnie trafnie dla niej wybranej, zgasła i zszarzała. Węgrzyn był w miarę patetycznym i zmanierowanym bubkiem, jednym z tych, co mniemają, że są przynajmniej „dekoracją” świata, skoro nie mogą być tego świata motorem. Skarzyński i Hnydziński w roli dwóch hreczkosiejów byli naturalni i szczerzy.

Dekoracje Drabika usposabiały do marzeń.

Sztukę publiczność, stęskniona za atmosferą dworu polskiego, przyjęła serdecznie. Autora wywoływano dwukrotnie, po drugim i trzecim akcie.

S. P. O.

## TEATR LETNI.

„Księżę Malzonek” — komedia w 5 aktach L. Xanroffa i J. Chancela. Reżyserował Tadeusz Frenkiel. Ilustracja muzyczna W. Rapackiego. Dekoracje A. Aleksandrowicza.

Ta komedja — nie! raczej doskonale libretto do operetki — była napisana podobno 20 lat temu, kiedy „emancypacja mężczyzn” nie była jeszcze kwestją tak bardzo aktualną, jak dziś.

Mężczyzna, jako „dokładka” do żony, był jeszcze fenomenem, dziwołagiem, spotykanym jedynie tuż obok tronu, a jednak nie na tronie. „księciem małżonkiem”, smętnym aparatem rodzinnym; narzędziem przeznaczeń dynastycznych, skazanym na wykonywanie obowiązków trutnia wobec królowej pszczoł.

Że ta jednostronna działalność nie mogła przypaść do gustu energicznemu i pełnemu ambicji osobistych księżatku, — to rzecz naturalna; to odruch upokorzonej godności ludzkiej, której tu nadano cechy wybitnie męskie.

Ale odwróćmy na chwilę rolę i przypomnijmy sobie ten długi, we mgle niepamięci ginący, szereg mądrych i dobrych królowych, których działalność przez obyczaj i władzę męzowską ograniczona została do rodzenia dzieci i dłubania w krosienkach. Te, które upominały się o udział w rządach, o pracę dla dobra kraju, nazywano Herod-babami i ośmieszano ich niepowołane wścibstwo. Nikt się nad ich losem nie rozczulał, jak autorowie francuscy nad swoim „prince consort”, chociaż praktyka wykazała, że i kobiety umieją być dzielnymi monarchijniami.

Królowa Korkonji w „Księciu Malżonku” okazuje tyle samodzielności, energii i tupetu, że jej nagła decyzja dopuszczenia do rządów i męża jest psychologiczną niekonsekwencją, dającą się wytłumaczyć tylko tem, że autorom koniecznie chodziło o to, żeby „mężczyzna miał rację”.

Zresztą, co tu mówić o konsekwencji tam, gdzie się ma do czynienia właściwie z farsą, przebraną w kostjum komedjowy, i to farsą, niepozbawioną nieco trywjalnego komizmu, podpatrującego tajemnice alkowy królewskiej i dworskich miłostek krewkiej regentki.

„Księcia Malżonka”, jako „Prince consort”, miałam sposobność widzieć pięć lat temu, doskonale granego w jednym

z paryskich teatrzyków. Wchodziły wtedy w modę krynoliny. Od tej pory zmieniła się sylwetka kobieca i zmodernizowana została linja trochę zwietrzałej sztuki. Wpleciono w nią aktualne aluzje, niektóre sytuacje uległy pewnej zmianie. Problemat zasadniczy pozostał jednak nienaruszony.

Sztuka jest obsadzona doskonale. Stary Frenkiel w roli teścia królowej wprowadził ton klasycznego humoru w dawnym, dobrym stylu. Majdrowiczówna wyglądała, jak zaczarowana królewna, w powłóczystych sukniach, z których każda była poematem, a na imię miała... miljon. Gellówna trochę jaśkrawo podkreślała jurność przekwitającej regentki. Łuszczewski był czupurnym księciem-małżonkiem, natomiast Justjan okazał mało inwencji i nieco zamazał wyrazistą sylwetkę premjera.

Otoczenie królowej wypadło niefortunnie. Dawno już nie widzieliśmy takiej kolekcji czupiradeł, jak defilada dam dworu w pierwszym akcie. Trzeba pamiętać, że to nie imieniny cioei w Obrzydłówku, ale uroczyste zaręczyny królowej, która jest tak piękna, że nie potrzebuje „repuosoir'u” oskubanych indywek.

Ponieważ jesteśmy krajem demokratycznym, sztuka o amorach królewskich napewno będzie miała powodzenie.

S. P. O.



Scena z widowiska regionalnego: „Podhale tańczy” — w teatrze Ateneum. — Pp. Bielicz i Rozmarynowski, jako družbowie.

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE”.

- Mikołaj Cymilow*: „Słodczye doczesnej miłości”.  
*Reginald Berkeley*: „O świecie” — autoryzowany przekład z ang. Wandy Peszkowej.  
*Georges Peulet*: „Kobieta pod zwrotnikami”.  
*Eugenjusz Czirikow*: „Mój romans”.  
*Jim Poker*: „Strażnik Krakatoa”.  
*Edgar Wallace*: „Małpa z tykwą”.  
*Irena Zarzycka*: „Chłopiec z dalekiej ojczyzny”.  
*Władysław Rudkowski*: „Lu tańczy”.  
*Hieronim i Jan Tharaud*: „Róża Saronu”.  
*Marta Ostenso*: „Świt w mroku”.

BIBLIOTEKAZKA HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA „ROJU”

- Juljan Ginsbert*: „Żywa torpeda”.  
*Wl. Mergel*: „Szpiegostwo bolszewickie”.  
*W. B. Reski*: „Ojciec Hapon”.  
 Nr. 124. *Roman Czechowicz*: „Zeppelin 127”.  
 Nr. 125. ppor. komandor *Czeczott*: „Bohaterowie Adrjatyku”.  
 Nr. 126. *Johnes*: „Naj... Naj...”.

NAKLAD KSIĘGARNI GUSTAWA SZYLINGA.

- „Mój Kary” — pamiętnik konia — przełożyła z angielskiego K. Poklewska-Koziółowa — z ilustracjami Kamila Markiewicza.  
*Wacław Kotwicz*: — Sonety.  
*Książki różowe i błękitne*:  
*Salomea Kisielewska*: „Bal pod płotem”.  
*Zofja Reutt-Witkowska*: Bajki choinkowe.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Prenumeratorkom naszym przypominamy, że listy, kierowane do Redakcji, winny zawierać imię i nazwisko, dokładny adres i 30 gr. na odpowiedź (znaczkami pocztowymi). Przytem, w interesie prenumeratorek listy muszą być datowane — otrzymując bardzo wielką ich liczbę, odpisujemy kolejno, zostawiając listy bez dat na koniec.*

*Helenie Kl.* — Niestety, z wierszami jest gorzej, niż z prozą. Możliwość wypowiedzania swych uczuć i myśli mową wiązaną jeszcze nie dowodzi talentu.

*Wandzie Marji.* — Nadesłane próbki świadczą bezsprzecznie o łatwości i naturalności wypowiedzania się, ale to jeszcze za mało, aby można z nich zdecydować, czy Pani ma talent twórczy. Trzeba spróbować swoich sił na konkretnym temacie.

*P. Z. G.* ze Lwowa, prosimy uprzejmie o nadesłanie swego adresu w celu listownego porozumienia.



## KOBIE TA W ŚWIECIE I W DOMU

NOWA DAMA BRYTYJSKA.

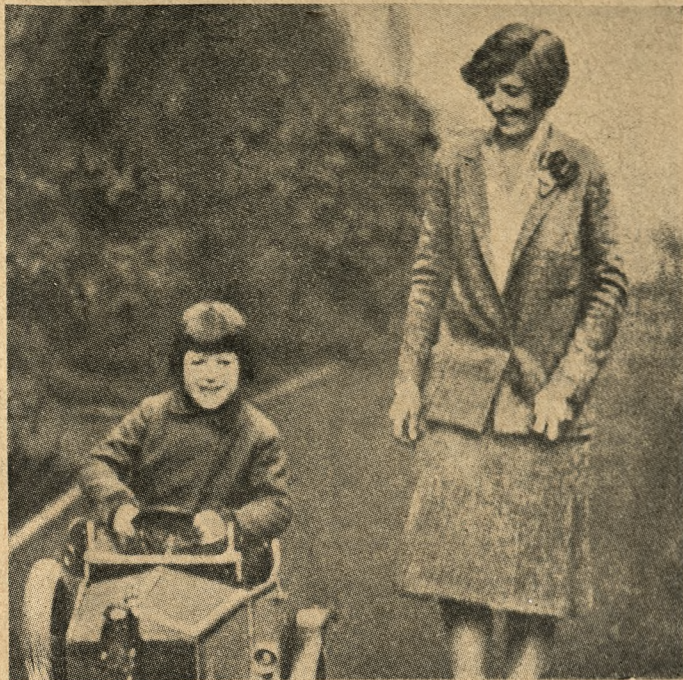
Angielski tygodnik kobiecy „The Woman's Leader” poświęcił noworoczny swój numer sprawozdaniu z całokształtu ruchu kobiecego w Anglii, we wszystkich dziedzinach kultury, pracy społecznej, politycznej i zawodowej.

Bardzo ciekawy jest artykuł o rozwoju lotnictwa kobiecego. W r. 1911 p. H. B. Hewlett zdała, jako pierwsza kobieta w Anglii, egzamin na pilotkę, otrzymując prawo latania. Przykład Mrs Hewlett pociągnął w tym samym roku drugą kobietę, panią Buller, poczem, aż do roku 1927, przybywało po jednej, najwyżej dwie pilotki rocznie; dopiero w roku 1927 udzielono patentów aż ośmiu pilotkom, w następnym — dziewięciu, w roku zeszłym zaś — 29.

Większość lotniczek angielskich rekrutuje się ze sfer kobiet zamożnych, które po otrzymaniu prawa pilotażu kupują sobie samoloty. W liczbie latających obecnie znajdują się „asy”, wslawione już licznymi nagrodami na konkursach i długimi przelotami.

Do najdzielniejszych należy autorka artykułu, lady Marja Bailey, która z całą skromnością nie wspomina o sobie nic, prócz podania daty otrzymania patentu lotniczki, ale której świetne wyczyny, jak przelot dookoła Afryki, są doskonale znane w całym świecie cywilizowanym. Mielśmy też sposobność widzieć lady Bailey w Warszawie w roku zeszłym.

Znakomita lotniczka, poświęcająca tyle sił i czasu pracy, pojętej, jako zawód społeczny, jest matką pięciorga dzieci, które troskliwie wychowuje i żoną... znanego przeciwnika pracy kobiet.



Lady Bailey w życiu rodzinnem.

Innego zdania są widocznie miarodajne sfery angielskie, lady Bailey otrzymała bowiem w dniu Nowego Roku wysokie odznaczenie: tytuł Damy Imperjum Brytyjskiego, za zasługi, położone na polu lotnictwa angielskiego.

## KUPUJMY TYLKO KRAJOWE OBUWIE.

Wzmagający się import obuwia zagranicznego do Polski, zwłaszcza tanich gatunków obuwia ludowego, poważnie zagraża bytowi 140.000 rodzin drobnych szewców, pracujących na terenie całej Rzeczypospolitej.

Braki naszej taryfy celnej nie dają naszemu przemysłowi obuwianemu należytej ochrony w walce z silną materialnie i organizacyjnie konkurencją zagraniczną.

Ostatnio czeski Ford obuwiowy, Batia, przystąpił do zorganizowania na terenie Polski własnych punktów sprzedaży i warsztatów reperacyjnych.

Pierwszy sklep otworzył Batia przed świętami w Łodzi, zagrażając w ten sposób bytowi nie tylko naszych szewców, lecz i kupców obuwia. Jedynie zdecydowana postawa całego społeczeństwa, oraz zsolidaryzowanie się wszystkich czynników, zainteresowanych w przemyśle obuwianym, jest w stanie zapobiec niebezpieczeństwu, grożącemu zniszczeniem naszego przemysłu szewskiego.

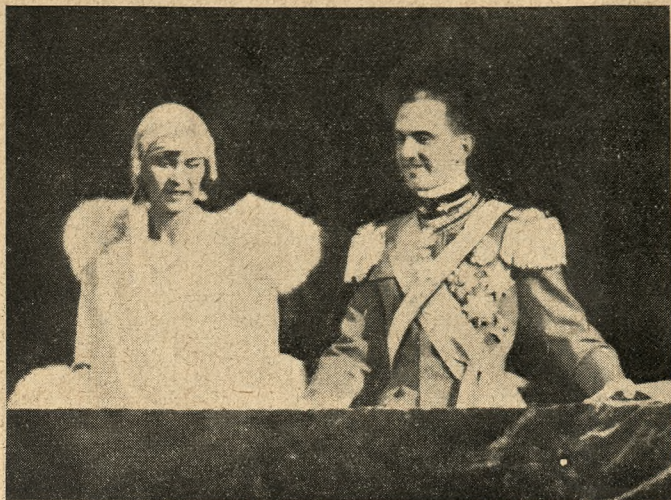
Kobiety i zrzeszenia kobiece powinny poważnie zainteresować się tym działem przemysłu krajowego i wpływać na czynniki miarodajne w kierunku zapewnienia ochrony szewstwu polskiemu, którego wyroby są w dodatku zawsze prawie o wiele lepsze od zagranicznych.

## KRÓLEWSKIE MAŁŻENSTWO Z MIŁOŚCI.

Przed kilku dniami odbyły się zapowiadane oddawna zaślubiny następcy tronu włoskiego ks. Umberto z księżniczką Marie Jęć belgijską. Małżeństwo to, co rzadko się zdarza w tych wysokich sferach, zawarte zostało z miłości, którą poprzedziła jeszcze kilkoletnia przyjaźń dwojga młodych, znających się prawie od dzieci.



Lady Bailey jako lotniczka.



*Szczęśliwi nowożeńcy.*

W Rzymie z okazji tych zaślubin rozwinięto niebywały przepych. Wszystkie historyczne gmachy, Kapitol, Colosseum i t. p. zostały iluminowane, miasto całe oświetlone artystycznie i udekorowane wspaniale. Przez kilka dni, poprzedzających zaślubiny, odbywały się malownicze pochody historyczne, turnieje i inne uroczystości.

Wspaniała wyprawa przyszłej królowej Włoch została wykonana całkowicie w jej rodzinnej Belgji; jednym z arcydzieł jest welon ślubny z ręcznych koronek „point de Bruxelles”, dar narodu dla księżniczki.

#### INSTYTUT RADOWY POWINIEN DOSTAĆ PROCENT OD OBROTU.

Komitet Daru Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie zwraca się z gorącą prośbą do wszystkich instytucji, zamykających obecnie rachunki za rok ubiegły, aby przy tej sposobności pamiętały o złożeniu pewnej kwoty na wykończenie Instytutu Radowego dla walki z rakiem im. wielkiej uczonej.

Ofiary można składać w biurze Komitetu (Wawelska 5), w P. K. O. konto Nr. 9555.

Większe dary, jak łóżko (zł. 10.000), udział członka-założyciela (zł. 1.000), oraz cegielka (zł. 100) będą uwiecznione w gmachu Instytutu Radowego.

#### MACIERZ SZKOLNA PRZY PRACY NA KRESACH.

Czytelnie, założone przez Kola Polskiej Macierzy Szkolnej w województwach wschodnich, uruchomiły 50 bibliotek, otrzymanych w darze od Zarządu Głównego Polskiej Macierzy Szkolnej w Warszawie.

Biblioteki te są prowadzone według instrukcyj, opracowanych przez dyrektora J. Stemlera i wydanych nakładem Biblioteki Centralnego Biura Macierzy Szkolnej.

#### KOBIETA PRACUJĄCA NIE ZOSTAJE STARĄ PANNĄ

Wiemy wszyscy, że dziś, wobec ogromnego rozwoju przemysłu, handlu, techniki i oświaty, kobieta nie może pozostać bezczynną, ograniczając się tylko na domowych zajęciach, że stanąć musi do pracy zawodowej często i mężatka, matka rodziny. Dotychczas jednak nie było danych, aby uprawianie pracy zawodowej przez kobietę ułatwiał małżeństwo, przeciwnie twierdzono często, że kobiety pracujące, zyskując niezależność materialną, uciekają od małżeństwa. Obecnie urząd statystyczny w Berlinie przeprowadził badania, na zasadzie których ukazuje się, że 80 procent kobiet (naturalnie panien), praktykujących jakiś zawód, wychodzi zamaż. Zamiłowani w statystyce Niemcy poszli jeszcze dalej, obliczyli mianowicie, jakie

zawody są dla wyjścia zamaż kobiety najkorzystniejsze. Naturalnie te, w których istnieje koleżeństwo obu płci. Na pierwszym miejscu stoją wielkie przedsiębiorstwa handlowe, stowarzyszenia ubezpieczeń i urzędy państwowe. Z pracujących w tych instytucjach kobiet wychodzi zamaż 56 procent, dalej częste małżeństwa zawierane są wśród lekarek i pielęgniarek 25 procent, a także wśród pracujących w wielkich magazynach konfekcji, 12 procent małżeństw przypada na służbę domową, pozostała liczba małżeństw dzieli się między inne zawody, z których najmniej „małżeńskim” jest powołanie nauczycielskie.

Statystyka ta, o tyle nie jest ścisła, że b. wiele kobiet pracuje, nie podlegając formalnej rejestracji w urzędach, np. nauczycielki prywatne, krawcowe, szyjące w domach, osoby, uprawiające różne zajęcia chałupnicze i t. p. Wobec tego, procent kobiet, które, pracując wstępują w związki małżeńskie, jest napewno wyższy. Istotnie bowiem w klasie t. zw. średniej każda prawie kobieta pracuje. Przytem urząd statystyczny wziął w swych obliczeniach pod uwagę, z wyjątkiem służby domowej, tylko zawody inteligentkie, nie liczył zaś zupełnie robotnicze rolnych i fabrycznych.

#### PIERWSZA DELEGATKA DO HAGI.

Rząd belgijski wydelegował pannę Marcelę Renson, jako członka komisji belgijskiej na konferencję Kodyfikacji Prawa Międzynarodowego, która odbędzie się w Hadze, w marcu bieżącego roku. Jednym z tematów obrad tej konferencji będzie sprawa zachowania własnej przynależności państwowej kobiety w razie małżeństwa z cudzoziemcem.



*Pani Marcelina Renson.*



## CERAMIKA HUCULSKA

Bazary Przemysłu Ludowego zawałone są obecnie ceramiką huculską. Jest to bodaj pierwszy wyrób ludowy, którego dostawę zorganizowano hurtowo, i można myśleć poważnie o jego eksporcie, co się przyczynić powinno do podniesienia dobrobytu garncarzy wiejskich z prześlicznych stron podkarpackich.

Któż nie zna tej Japoni huculskiej, pełnej błękitnych wzgórz, potoków i sadów, jarów zielonych, wilgotnych i mrocznych, czarnych drewnianych cerkiewek, które mają coś z pagody — i po rozstajach Chrystusików smutnych, rzeźbionych w prymitywnym natchnieniu.

Kraj ten, na wszystkie strony omaszczony jeszcze folklorem, robi wrażenie żywego muzeum, czy to ze względu na strój góralski, czy na budownictwo drewniane, pełne charakteru. Sprzęty i statki, każdy szczegół stroju, wszystko pomyślane jest pięknie, z wielkim poczuciem formy i barwy; lud pokucki ozdobi sprzęty i garnki, serdaki i kapelusze; nawet rękawice i pończochy są dziane różnobarwnie i wzorzyste, nie mówiąc już o słynnych haftach na rękawach koszul.

Jednym z głównych działów pokuckiej sztuki ludowej jest ceramika, różniąca się od innych typów garncarstwa ludowego techniką majolikową, niezmierną różnorodnością kształtu i żywiołowym przepy-

chem ornamentu. Te białe garnki we wzory zielone i brunatne mają w handlu wielkie wzięcie; trzeba jednak zaznaczyć, że są one cenione przez artystów i etnografów.

Jedną z ostatnich prac Polskiej Akademji Umiejętności (prace komisji etnograficznej) jest dziełko Tadeusza Seweryna p. t. „Pokucka majolika ludowa” nie mówiąc o dawniejszych dziełach Włodz. Szuchiewicza o Huculszczyźnie, „Wzorach przemysłu krajowego”, wydawanych w swoim czasie we Lwowie, i o wielu innych dziełach, które, opisując bogatą sztukę ludową Huculszczyzny, zatrzymują się również na ceramice pokuckiej.

Garnki huculskie są właściwie majoliką, gdyż zwykła glina garncarska oblewana jest białą gliną, wzory są rytowane, malowane i oszkliwione.

Ceramika pokucka odznacza się niezwykłą różnorodnością kształtów: są tu i niskie bańki na olej, i dzbany, i misy, puhary i brzuchate baniaczki, doniczki i świeczniki, talerze i garnuszki, manierki i czerpaki, patery, urny i „barany”, nie mówiąc o kogutkach, gwizdkach i t. p.

Ornament pokucki ma w sobie rozmach barokowy. Wzory geometryczne, roślinne, architektoniczne i zwierzęce zawsze w tych samych barwach zielo-

no-brunatnych, rzadziej niebieskich, żółtych i ceglanych, wkomponowane są w człony garnka z artystyczną logiką i smakiem.

Po za stylizowaniami i czasem nieco konwencjonalnymi wzorami roślinnymi, zdarzają się i ulubione przez huculów jelenie, koguty, ptaszki, cerkwie, krzyże, a nawet i święci pomiędzy „konikami“, trójkątami, ząbkami, słupkami i gwiazdami, lub też falistą, płynną ozdobą roślinną.

Podług T. Seweryna, majolika pokucka wchłonęła różnorakie wpływy w kształtowaniu ornamentu; widzimy w niej pewne reminiscencje ceramiki siedmiogrodzkiej, podobieństwo do garncarstwa słowackiego, nie mówiąc o dalszych przetrwaniach i przeinaczonych wpływach Zachodu i poniekąd Wschodu.

Stacja Doświadczalna Ceramiki Ludowej Warszawskiego Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego zajęła się garncarstwem huculskim w sposób racjonalny. Utalentowanych artystów ludowych nauczono sekretów technicznych, aby polewa nie przeciekała, zorganizowano im zbyt, normowany przez ludzi kulturalnych i na rzeczy się znających; urządzono w Kosowie wystawę ceramiki huculskiej.

Rozszerzając produkcję, dba się przy tem, aby garncarze tworzyli tylko według swego smaku i wielkowiej tradycji, nie narzuca się im żadnych wzorów, ani wymogów mieszczańskich, które tylekrotnie już, jak uczy doświadczenie, wypaczyły sztukę ludową.

Ceramika huculska posiada wielkie zalety dekoracyjne, nadaje się na wazony do kwiatów i do dekoracji wnętrza; prześliczne miski i talerze są znakomitą ozdobą półek i kredensów; małe talerzyki mogą być stosowane do owoców, na pięknym obrusie lniałym we wzory. Wraz z paterami huculskimi, dzbankami do kwiatów i popielniczkami mogą stworzyć bardzo efektowną i oryginalną, choć niedrogą, zastawę stołu.

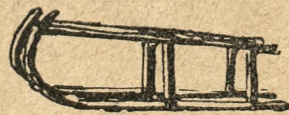
Jankowska-Orzynyna.

## SANECZKARSTWO SPORTOWE

Saneczkarstwo sportowe rozwinęło się w krajach górzystych, jak Skandynawja, Szwajcjarja, i zdobyło sobie dopiero z końcem XIX wieku miano sportu. W tym też czasie zostały wprowadzone różne rodzaje sanek oraz różne sposoby jazdy.

Jest to jeden z najmilszych sportów zimowych, nie wymagający specjalnych urządzeń, ani też terenów, jak również strojów — w przeciwieństwie do innych sportów zimowych, jak naprzykład łyżwiarstwa, wymagającego odpowiedniej sadzawki, względnie odpowiedniej tafli lodu, utrzymanej drogą ciągłego polewania oraz oczyszczania ze śniegu. Na saneczki nadaje się każdy, lekko ujeżdżony pagórek, wał, wzgórze, droga spadzista i t. p.

Na korzyść saneczkarstwa sportowego przema-



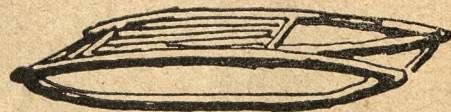
Sanki zwyczajne

wia jeszcze i to, że nie wymaga ono wielkiego treningu, a już pierwsze próby zjazdu dają pełną satysfakcję zjeżdżającemu, podczas gdy pierwsze mozolne wysiłki utrzymania się na łyżwach w równowadze, lub też na nartach przy zjeździe, odstraszały niejednokrotnie mniej odważnych, a nawet dają się od czasu do czasu dotkliwie odczuć przy upadkach na twardą tafel lodu. Przy saneczkowaniu zaś, siedząc wygodnie, rozkoszujemy się pędem i nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Wprawdzie i tu się zdarza, że przy nieostrożnym zjeździe kładą się wszyscy w śnieg, zazwyczaj jednak towarzyszy temu kaskada śmiechu, która podnieca zjeżdżających do ponowienia próby. Choć i powtórnie zakręt nie zostanie opanowany, to jednak upadek w miękkim śniegu jest mniej bolesny, aniżeli na twardym lodzie na ślizgawce.

W saneczkarstwie sportowym używa się u nas najprostszyc sanek, posiadających dwie płozy, długości 1 m. do 1,30 m. i wysokości około 30 cm.; nad nimi na specjalnych podporach umieszczone jest siedzenie, wyplatane taśmą. Rzadziej już można spotkać saneczki, używane w Szwajcjarji, które zamiast taśmy posiadają latki drewniane; w Bawarji i Tyrolu różnią się one jeszcze niskim tylnym oparciem. Najmniej odpowiedni jest typ sanek, używanych w Leoben. Wykonane są całkowicie z żelaza, podczas gdy wszystkie inne są z drzewa, posiadają jedynie tylko płozy, okute żelazem.

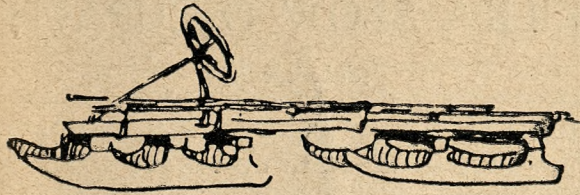
Do odmiennego typu sanek należy t. zw. „Skeleton“, pochodzenia amerykańskiego, u nas jednak mało używany, gdyż wymaga dobrego toru, jak bobsleigh, i nadaje się jedynie do zjeżdżania, leżąc na brzuchu. Bobsleigh jest luksusowym przyrządem sportowym i odpowiednio kosztownym. Składa się on właściwie z dwóch sanek, z których pierwsze na ruchomej osi są połączone z kierownicą i służą do kierowania, drugie natomiast zazwyczaj posiadają hamulce. Są 2 do 6 osobowe, przyczem wieloosobowe wymagają nietylko specjalnego toru, ale i zgrania osady przy zjazdach. U nas jazda na bobsleighach mało się rozwinęła z powodu braku odpowiednich torów. Mamy jeden tylko i to w Zakopanem. Ten rodzaj saneczkarstwa sportowego rozwija wprost fantastyczną szybkość, dochodzącą do 100 km. na godzinę.

Co do techniki saneczkowania, należy przede wszystkim usadowić się na sankach głęboko (nie na przodzie) i w ten sposób, by mieć nogi swobodne do kierowania. Osoby następne nie powinny opierać nóg na płozach, gdyż powodują w ten sposób niepotrzebne



Skeleton





Bahsleight

hamowanie, utrudniają kierowanie, a przytem przy wywróceniu się łatwiej o wypadek. Jeżeli zjeżdża się w pojedynkę, należy trzymać się z tyłu rękami, przechylając również tułów ku tyłowi. Kierowanie odbywa się nogą przez lekkie nacisk na śnieg (hamowanie) z tej strony, w którą chcemy jechać. Można sobie pomagać także i rękami. Ażeby uniknąć przykrego zarzucania na zakrętach, co zwykle jest przyczyną upadków, ewentualnie zjazdu tyłem, powinno się przechylić możliwie jak najniżej ku wewnętrznemu łukowi zakrętu. Również dla zmniejszenia hamowania, jakie powstaje przez opór powietrza, saneczkujący powinni być pochyleni wstecz (siedzieć, jak w wygodnym fotelu, a nie sztywno, jak na krześle).

Zresztą kilka zjazdów próbnych i dwa lub trzy zupełnie nieszkodliwe wywroty najlepiej objaśnia i uprzytomnia wszystkie zasady kierowania, które są i tak bardzo proste. Natomiast ruch i świeże powietrze, a wskutek tego zyskanie na energii opłacają stokrotnie poniesiony trud i zrobiją z saneczkowania rozrywkę, przynoszącą nie tylko wewnętrzne zadowolenie, ale przede wszystkim korzyści dla zdrowia, stanowiąc niejako przeciwwagę niehigienicznego trybu życia, zwłaszcza po dużych miastach.

Co do strojów, to nie wymaga ono specjalnego kostjumu, należy tylko ubrać się nieco cieplej, jak przy innych sportach, gdyż przy zjeżdżaniu, kiedy siedzimy w pozycji nieruchomej, a owiewa nas zimny prąd powietrza, może nastąpić dysproporcja w regulacji ciepła (utrata ciepła), a wskutek tego predyspozycja do infekcji, o którą wszędzie bardzo łatwo.

Prawidłowy strój składa się ze spodni wełnianych, zapinanych pod kolanami, z szerokiej spódniczki, swetra, ewentualnie wiatrówki. Szalik musi być barwny, twarzowy, gdyż służy on tylko dla ozdoby. Buciki muszą być mocne, na niskim obcasie. Przy skeletonach, dodajemy na końcu butów okucia specjalne do kierowania. Buciki na wysokich obcasach, oraz boty nie nadają się do saneczkowania.

Sport ten, ze względu na łatwość opanowania i minimalną sumę wydatków, jest dla każdego dostępny i powinien rozpowszechnić się jaknajszerszej. Kto raz spróbuje, napewno stanie się jego zwolennikiem, odnosząc zeń duże korzyści dla zdrowia.

Dr. M. Kłosińska.

## HODOWLA KUN

(dokończenie)

Jeżeli uważamy, że korzystniejsze jest dla nas trzymanie większej ilości samic przy niewielkiej tylko liczbie samców, musimy je bacznie obserwować, aby nie przeoczyć momentu, w którym należy samca połączyć w jednej klatce z samicą, zawsze tylko jedną naraz. Czas ten zwykle nadchodzi zimą, począwszy już od początku grudnia. Przyglądając się im codziennie, w pewnej chwili zauważymy wielką chęć do bójek; jest to dla nas najlepszym znakiem, aby z klatki pousuwać zbędne samice, pozostawiając tylko jedną, której dodajemy samca. O ile posiadamy większe klatki, gdzie kuny nasze żyją dotąd jeszcze nie rozdzielone, musimy z grupy tej wyszukać wszystkich samców i odtąd trzymać ich oddzielnie, po jednym w każdej klatce, gdyż inaczej będą się ciągle bili i zniszczą kosztowne futerko. Naturalnie zatrzymujemy tylko najwybitniejsze okazy, jako materiał rozplodowy.

Płeć w tym okresie poznać bardzo łatwo, przeglądając ich organy. Samce mają budowę zazwyczaj silniejszą, łeb większy, ale ta budowa zewnętrzna może nas w błąd wprowadzić, bo i samice często zdarzają się bardzo rozrośnięte; lepiej więc zawsze, dla uniknięcia omyłek, badać rzecz dokładnie. Czynność tę skutecznie trzeba we dwoje, i to koniecznie w grubych skórkowych rękawiczkach, bo nawet najlaskawsze i najwięcej oswojone stworzenia gryzą i drapią każdego, kto je bierze przemocą i poddaje szczególnym obserwacjom.

Selekcja kun odbywa się zupełnie automatycznie: młode są zawsze podobne do swoich rodziców, nie spotykamy tu takiej różnorodności kształtów i umaszczenia, jak u innych zwierząt. Raz połączoną parę pozostawiamy dłuższy czas razem w spokoju; nie znaczy to jednak, abyśmy się do nich nie mieli przez ten czas zbliżać zupełnie. Przeciwnie, bardzo jest wskazane częste z nimi obcowanie, przyzwyczajanie, aby podchodziły na zawołanie, lub przyjmowały z ręki smaczne kęski. Oswojone kuny pozostają takimi aż do późniejszego wieku, dopiero na starość stają się znów płochliwe i dzikie. Stadko całe dzielimy na dwie części: jedna — to najpiękniejsze okazy, przeznaczone na produkcję nowych pokoleń; druga — to sztuki do zabicia na skórki.

Każda kuna daje rocznie, zależnie od jej wieku, 3 — 5 młodych; za każdą zaś ładną skórkę, nie wyprawioną można dostać u nas około 15 dolarów. Jak długo powinno się trzymać kuny w celach hodowlanych, nie jest jeszcze dokładnie określone — to własna praktyka wykazać powinna.

Dopóki samica wydaje na świat rocznie nie mniej, niż troje młodych, i one wyrastają ładne i typowe,



Kuna w futrze letnim.

**W dobrze prowadzonym domu nie się zmarnować nie powinno!**

Książka p. t.

**„Nie wyrzucaj odpadków“**

uczy zużytkowania tego wszystkiego, co zwykle uważamy za bezwartościowe.

**Cena 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.**

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. 13.555.



Kuna w futrze zimowym.

znaczy to, że wartość jej pozostaje bez zmiany i jeszcze dalej służyć może.

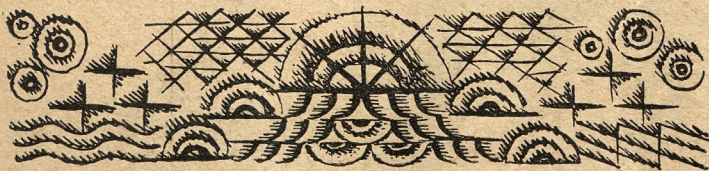
Poza zadawaniem kunom codziennej paszy, dbać trzeba o ich warunki higieniczne, aby utrzymać zdrowie ich w jak najlepszym stanie i aby skórka nie traciła na wartości. Cała klatka musi być stale czysta, jedzenie nie rozlane, słoma często zmieniana, a chróst często przeglądany i przetrząsany. Nie wolno, aby kuna futerko o cośkolwiek brudziła, a słoma i chróst służą jej za szczotkę, którą się codziennie po niezliczone razy czesze i przygląda. Początkowo, aby zachęcić ją do częstego przeslizgiwania się pomiędzy patykami chróstu, kładziemy jej tam na spód różne smakołyki, potem staje się to już zbyt bezcelne. Czyścąc dół klatki, trzeba kunę wegnąć do jej sypialni i otwory zastawić tak, żeby się stamtąd wydostać nie mogła, gdyż nawet bardzo oswojona próbować będzie zawsze uciec, gdy tylko do tego sposobność się nadarzy; oczyszczając zaś sypialnię, zganiamy ją na dół.

Skórki sprzedajemy z kun zupełnie już wyrosniętych; najlepsze są z tych, które się rodziły w okresie od lutego do maja. Kun nie zabija się nożem, ani do nich strzela: trzeba je ogłuszyć uderzeniem w głowę, a potem udusić zwykłymi kowalskimi kleszczami.

Do rozpoczęcia hodowli kun potrzebny jest kapitał zakładowy minimalny, również mało kosztowne jest dalsze jej prowadzenie. Selekcję przeprowadzać trzeba, jak w każdej innej hodowli: wybierać okazy najpiękniejsze, uważać, aby nie łączyć ze sobą osobników pokrewnych, a przede wszystkim starać się rok rocznie o świeżo złapane, młode dzikie, dla ciągłej zmiany krwi.

Skórki kuny pozostaną jeszcze przez długi czas kosztownymi; kto wie nawet, czy nie będą z czasem droższe, a to z tej przyczyny, że stworzonka ta, jako bardzo szkodliwa, tępienie są stale i jest ich coraz mniej, podczas gdy skórki ich są coraz więcej poszukiwane.

Kto ma ochotę do hodowli zwierząt futerkowych, powinien przede wszystkim zainteresować się powyższą opisaną, traktując ją choćby nawet, dla jej taniości, jako próbę i wstęp do innych, znacznie kosztowniejszych i więcej zachodu wymagających. A. D.



## KILKA SŁÓW O ZUPACH

(dokończenie)

Rosół, w czasach obecnych, tylko wtedy oplaci się gotować, jeśli użyjemy ugotowane w nim mięso na sztukę mięsa, przyczem pamiętać należy, że jeżeli ta sztuka mięsa ma być smaczna i soczysta, trzeba mięso włożyć do wrzącej wody. W taki sposób białko się zetnie po wierzchu i mięso nie rozgotuje się na włókna. Takie rozgotowane mięso można użyć tylko na jakiś forszmak, paszteciki, gotowane pierogi, lecz nie należy go podawać w całości, gdyż wszelki smak już utraciło.

Gdyby nam rosół zanadto wykypiał, możemy go podlać zimną wodą — a nie gorącą, jak to czyni wiele kucharek — gdyż rosół, podlany gorącą wodą, nabiera zapachu ścierki. Dolany zimną, należy jeszcze kilka minut pogotować. Będzie może mniej mocny, lecz smaku nie straci.

W czasach przedwojennych używano na rosół ogromne ilości mięsa, brano np. pięć do sześciu funtów mięsa na rosół dla trzech — czterech osób i to na jeden dzień. Obecnie, przy starannem gotowaniu i dostatecznej ilości jarzyn, można ugotować z jednego kilograma, czyli dwóch i pół dawnych funtów mięsa, dwa i pół litra rosółu, a więc ilość, dostateczną na dwa dni dla czterech osób.

Mówiłam tutaj o rosole z wołowiny. Zupełnie w taki sam sposób gotujemy rosół z cielęciny, z kury, z gołębia, z baraniny, z dróbek indyjskich, kaczych lub gęsi.

Niemożliwym jest w krótkiej pogadance dać wskazówki wyczerpujące o zupach wszelkiego rodzaju. Wszystkie te rosoly podajemy bądź z jarzynami, bądź też zasypane różnymi kaszkami, z różnymi kłuseczkami, pulpetami i pasztecikami wszelkiego rodzaju. Rosoly z cielęciny, baraniny, kury i dróbek gotują się o połowę krócej od rosółu z wołowiny. Tyle — o rosolach mięsnych.

Na wszelkie zupy kwaśne, bądź to czyste, bądź zabielaone, możemy używać w dniu mięsne smaku z kości i jarzyn, w dniu postne tylko z samych jarzyn z dodatkiem jednego lub paru suszonych grzybków. Na smak do zup, jeśli chcemy je mieć czyste, najodpowiedniejsze są kości wołowe, przede wszystkim kostki tak zwane kručze i kości ze szpikiem — czyli rura. Wszelkie żebra, płaskie kości z łopatki wcale smaku nie dają. Kości grzbietowe dają nawar mętny, więc tylko do zup zabielaonych mogą być użyte. Kości z cielęciny i z wieprzowiny nadają się też tylko do zup zabielaonych lub przecieranych (purée). Kości pieczonego mięsa — z rostbeafu, z pieczeni cielęciej, z indyka — nie mogą w zupełności zastąpić kości świeżych, jednak w oszczędnym i racjonalnie prowadzonym gospodarstwie nie powinny być wyrzucane, a użyte na smak do różnych zup jarzynowych, którym dużo smaku dodają. Nakoniec do pewnej kategorii zup — mianowicie kapuśniaku, grochówki, barszczu wołyńskiego, czy litewskiego — możemy użyć, zamiast mięsa świeżego, mięsa wędzonego, lub też nawet kości od szynki.

Ponieważ barszcz z buraczków jest, po rosole, najbardziej rozpowszechnioną w Polsce zupą, powiem o nim słów kilka. Im więcej buraków nań użyjemy, tem będzie smaczniejszy. Barszczyk w filiżankach będzie równie smaczny, czy to przyrządzony na rosole,

czy też na smaku z jarzyn i grzybków młodych. Możemy gotować go z buraczków surowych, czy też uprzednio ugotowanych, lub upieczonych, byle tylko były ładne w kolorze (najlepsze są płaskie, egipskie). Jeśli barszczyk nie dosyć czerwony, należy utrzeć na tarce burak surowy, położyć go w sitko i przelać przezeń gotowy barszcz, a nabierze ładnego koloru. W smaku mu to nie zaszkodzi wcale.

Mamy w kuchni polskiej, poza barszczykiem czystym — którego poza Polską i Rosją nigdzie w Europie nie znają, a którym się wszyscy cudzoziemcy zachwycają — barszcz zabieleny śmietaną, barszcz wołyński z różnemi jarzynami, do fasoli włącznie, barszcz litewski z gałkami z mięsa, przyrządzonego, jak na kolduny, i z suchą kielbasą — wszystkie mogą być ugotowane i na smaku z jarzyn.

Krótko tylko wspomnę tutaj o wykwintnych zupach przecieranych (purée) z drobiu i ze zwierzyny. Nie są one tak kosztowne, jakby się zdawało, jeśli użyjemy na nie resztek drobiu przy dużych przyjęciach, lub przodków zajęcych po użyciu tych zajęcy na pieczyście. Do zup wykwintnych i nieco kosztowniejszych należy zupa rakowa i zupa żółwiowa (w naszych warunkach robiona z główki cielęcej). Nie podaję tu szczegółowych na nie przepisów, jednak, co do zupy rakowej, muszę zwrócić uwagę gospodyń, że dawniej liczone przynajmniej piętnaście raków na osobę, a przy dzisiejszych, bardziej udoskonalonych metodach — trzy raki na osobę dają wyborną zupę.

Specjalnie zdrową i pożywną grupę zup stanowią zupy przecierane (purée) jarzynowe. Grochówki i fasolówki, nieco ciężkie może, lecz nadzwyczaj pożywne i sycące, już oddawna cieszą się u nas powodzeniem; toż samo można powiedzieć o zupach: pomidorowej, szczawiowej i kartoflanej. Obecnie jednak prawie z każdej jarzyny — zaczynając od szparagów, zielonego groszku i kalafiorów, a kończąc na zielonej fasoli, kalarepce, marchwi, salsefji, włoskiej kapuście i bulwie — robimy wyborne zupy. Wszystkie one przyrządzają się według jednej i tej samej zasady, dowolnie na smaku mięsny lub jarzynowy, i zaprawiają zasmażką mączną z masłem, lub też w sposób wykwintniejszy: żółtkiem i słodką śmietanką. Kwaśna śmietana — wyborna zaprawa naszych zup kwaśnych i wogóle wszystkich innych, potrzebujących podniesienia smaku — na zachodzie Europy wcale nie jest znana i przez wielu naszych lekarzy-dietetyków nawet stanowczo zabraniana osobom o słabszym trawieniu i o nieprawidłowej przemianie materji.

Jeżeli będziemy mówili o zupach rybnych, to pierwszeństwo dać musimy zupom czystym, rosółom z ryby. Najlepsze są z okoni, linów, miętusów, węgorzy i niepozornych a wybornych jazgarzy. Szczupaki, leszcze, a szczególnie sandacze dają lichy rosół i można z nich robić tylko zupy zabielenane. Wyborne składają w smaku, ryby morskie na zupy wcale się nie nadają, gdyż rosół z nich ma zawsze nieprzyjemny posmak i zapach, który niczem się zabić nie daje. Wyjątek stanowi węgorz, będący jednocześnie rybą morską i rzeczną, z którego rosół z najlepszym rosółem z kury porównać można. Francuzi wprawdzie robią z ryb morskich swoją słynną marsylską „bouille-à-baisse”, lecz zaprawiają ją taką ilością czosnku, oliwy, szafranu i różnego rodzaju korzeni, że ten zapach morski zupełnie ginie — polakom jednak ta południowa zupa przeważnie wcale nie smakuje.

Przy odżywianiu osób starszych, chorych lub

rekonwalescentów, wreszcie dzieci — dużą rolę grać powinny zupy z kaszek i różne kleiki. Dawniej robiono je przeważnie na mocnych rosółach i wyciągach mięsnych. Dzisiaj te rosoly zastępuje smak z jarzyn, lub też żółtko, rozbite w gotowanej kaszce, albo tylko dodane do niej dobre śmietankowe masło. Kaszki: jęczmienna, perłowa, owsiana — powinny być dobrze rozklejone i mocno rozbite, z dodatkiem sporej ilości najlepszego masła, wtedy dopiero są smaczne. Kaszka manna i krakowska drobna muszą dobrze wybrzęknać pod nakryciem po ugotowaniu. Masło do nich wkłada się dopiero w chwili podania. Z dodatkiem zielonego koperku lub kilku kropel polskiego ekstraktu „Ninabur”, zastępującego niemieckie Maggi, kaszki te dają wyborną zupę, którą nawet dorośli i zdrowi pogardzać nie powinni. Wszelkie kasze, i dawniej używane do słynnych polskich krupników, a ryż do zup różnych, przy dzisiejszych sposobach odżywiania powinny wejść do naszych jadłospisów, jako zupy samodzielne, gotowane na wodzie, na smaku z jarzyn, lub też na mleku — te ostatnie będą najpożywniejsze.

W jadłospisach miejskich zupy mleczne wyszły prawie zupełnie z użycia. Czy to trudność dostania dobrego nabiału, czy też niechęć do odżywiania się w sposób dziecienny, spowodowały, że prawie zupełnie w przeciętnych rodzinach inteligentkich zup tych nie spotykamy. Otóż jest to poważny błąd dietetyczny; zupy mączne, wszelkie kluski i kluseczki, wszelkie kaszki i wszelkie miszkulancje jarzynowe, na mleku gotowane, lub chociaż zabielenane mlekiem — powinny wrócić na stół nasz, jeżeli nie na obiady, to chociaż na kolacje, na które dań mięsnych lekarze przeważnie zakazują. Kto nie lubi mleka, a może sobie pozwolić na większy wydatek, niech zabiela te kasze i jarzyny słodką śmietanką z dodatkiem dobrego masła; czy to makarony, czy kluseczki, czy też kaszki będą mu smakowały wybornie.

Nakoniec przejdę do kategorii zup, które do niedawna były u nas w zupełnym zaniechaniu — ba! nawet w pogardzie: do zup owocowych. Jeżeli uprzymimy sobie, że współczesna dietetyka każe do każdego posiłku oprócz jarzyn wprowadzać owoce, a jednocześnie, że nasze obiady przeważnie z dwóch lub trzech dań najwyższej się składają i że owoce świeże, a nawet konserwowane w kompotach, są przez większą część roku za drogie — będziemy musieli zupy owocowe uznać za najbardziej odpowiedni sposób wprowadzenia tych owoców do codziennych posiłków.

Możemy na nie użyć każdego świeżego owocu — od rabarbaru i poziomek wiosną, do śliwek, gruszek i jablek jesienią. A zimą każdy susz owocowy, każdy owoc, przechowany w butelkach, da się do nich zastosować. Znamy dwa sposoby zaprawiania tych zup: jeden, niemiecki — mączką kartoflaną; drugi, smaczniejszy, lecz i kosztowniejszy — mąką pszenną i dobrą kwaśną śmietaną. Słodzimy je zawsze cukrem do smaku, a podajemy, zależnie od gustu, na początku lub na końcu obiadu.

Pani Elżbieta.



## KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Miesięczne zebranie Koła, które odbyło się w dniu 10 stycznia r. b. w sali pracowników miejskich (Krakowskie Przedmieście 1), zagała przewodnicząca, p. Iza Mandukowa. Podała ona do wiadomości pań szereg ciekawych szczegółów. Przewszystkiem, iż statut Koła został złożony w komisarjacie Rządu, gdzie w najbliższym czasie ma być zatwierdzony. Kursy dla pań-gospodyń, pragnących nauczyć się ogólnego prowadzenia domu według zasad nowoczesnych, z uwzględnieniem nauki o gotowaniu, przystosowanej do wymagań doby obecnej, rozpoczyna się 20 stycznia r. b., już w nowym lokalu Koła przy ulicy Narbutta. Zapisy na kursy skutecznie można w lokalu Ziemianek (Marszałkowska 149) od g. 11-ej do 12-ej w południe.

Pani Kiewnarska wyjaśniła, że niezależnie od tych kursów, będą prowadzone nadal (przy ul. Grójeckiej 95) kursy tylko wyłącznie gotowania, a mianowicie: IV kurs gotowania dla pań, nieumiejących gotować, i V kurs uzupełniający dla pań, chcących się wydoskonalić w sztuce kucharskiej.

Zapisy przyjmuje pani Kiewnarska codziennie od 4 — 5, Poznańska 14 m. 9.

W dalszym ciągu p. Mandukowa zakomunikowała, iż na Zjazd gospodyń, który na początku lutego r. b. odbędzie się w Berlinie, wyjedzie p. Halina Przesmycka, jako delegatka Koła. Wreszcie nadmieniła, że dyr. gazowni, p. Świerczewski, zaproponował zorganizowanie na terenie gazowni czterech wykładów o produkcji gazu i sposobach obchodzenia się z nim, specjalnie dla członkiń Koła. Na zakończenie p. Mandukowa powiadomiła panie obecne, iż następane zebranie odbędzie się 7-go lutego, na które złoży się: referat p. Marji Ankiewiczowej „O dziecku w gospodarstwie domowym”, oraz pokazy praktyczne z dziedziny technicznych udogodnień. W końcu nastąpiły sprawozdania z poszczególnych sekcji.

P. Michalina Ułanička, kierowniczka sekcji służby domowej, objaśniła, że sekcja nie miała dotąd możności wejścia w bezpośredni kontakt ze służbą. Dlatego też sekcja powzięła zamiar urządzenia w lokalu Koła (przy ul. Narbutta) cyklu pogadank dla służby na tematy z dziedziny fachowej i etycznej. Projekt ten spotkał się z żywą aprobatą pań. Pogadanki będą się odbywały raz na tydzień.

Referat: „Jak urządzić słodkie przyjęcia” — wygłosiła p. Elżbieta Kiewnarska, przedstawiając dodatnie strony zebrania towarzyskich na terenie domu, mimo całego szeregu kłopotów, towarzyszących ich zorganizowaniu. Przemówienie swe prelegentka uzupełniła dwoma przepisami: na kruszon i na faworki.

Niezmiernie ciekawie p. Godjaszwili ujął temat herbaty i sposobów jej zaparzania. Dał cenne wskazówki orjentowania się w jej gatunkach oraz w źródłach nabywania. Bardzo sumiennie zaznaczył, że ani cena, ani nawet etykieta nie stanowią o wysokości gatunku, a zatem o dobroci herbaty. Jedynym wskaźnikiem, najbliższym prawdy, jest numer, zamieszczony na paczkach. Ani herbata chińska, ani angielska nie jest oryginalna, a cena jej kalkuluje się wysoko, ponieważ przychodzi do nas już paczkowana, posiada wysokie cło i drogą robociznę. Najkorzystniej więc jest dla klienta nabywać herbatę na wagę, gdyż mimo, że kalkuluje się ona najtaniej, w niej jednej wahanie ceny może być proporcjonalne do wysokości gatunku. Herbatę najlepiej jest nabywać w składach herbaty, gdyż jest ona produktem, łatwo przesiakającym zapachami innych towarów.

Według wskazówek p. Godjaszwili, herbatę dobrą poznajemy po równo i dobrze zwiniętych liściach, przyczem miału w niej być nie powinno. Mętnienie esencji herbacianej, powstające tak często przy użyciu drogich nawet gatunków, nietylko

nie wynika z zafarbowania herbaty, lecz przeciwnie: jest dowodem jej dobroci, gdyż spowodowane jest obecnością puszek kwiatu herbacianego w liściach. W miarę obniżania się gatunku herbaty, mętnienie nie daje się zaobserwować.

Zdaniem p. Godjaszwili twierdzenie, ogólnie przyjęte, że herbata przed wojną była lepsza — jest zgola nieuzasadnione. Otrzymujemy obecnie bardzo wysokie gatunki herbat, jak np. cejlońska.

Kończąc, prelegent podał parę praktycznych wskazówek w sprawie parzenia herbaty: parzenie herbaty winno być uskutecznione przed samem jej użyciem; imbryczek musi być porcelanowy, bardzo uszczelniony i zawsze wyparzony gorącą wodą; nigdy nie należy stawiać go na gorącej blasze, a zawsze na parze lub odstawiać na bok. O dobroci herbaty w dużej mierze stanowi gatunek używanego do niej cukru. Najlepszy jest krystaliczny.

Podczas przemówienia p. Godjaszwili obnoszono parzoną na miejscu herbatę różnych gatunków do wypróbowania. A po skończonym posiedzeniu członkinie nabywały puszek z oliwą oraz herbatę po cenach hurtowych. *Marja Ankiewiczowa.*



### SERNIK (na prośbę czytelniczki).

Trzydzieści deka mąki, dwadzieścia deka masła i dwieście deka cukru-pudru zagnieść z paru łyżkami wody na kruche ciasto, postawić na chłód. Kilo dobrego twarogu, odcisniętego przez noc całą pod prasą, przepuścić przez maszynkę i uciierać w misce z sześcioma żółtkami, trzydziestoma deka cukru, kawałkiem całowym wanilji, utłuczonej z cukrem, i piętnastoma deka śmietankowego masła.

Gdy masa zupełnie gładka, dodać na koniec noża soli i kieliszek araku, lub łyżeczkę esencji ponczowej. Kruche ciasto rozwałkować jaknajcieniej i wyłożyć niem tortownicę, lub niedużą brytfankę. Piątą część ciasta zostawić na kratkę. Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z serową masą, napełnić tem formę. Pozostawione kruche ciasto rozwałkować cienko, pokrajając na pasy, szerokości palca, i ułożyć z nich po wierzchu ładną kratkę. Posmarować żółtkiem i wsadzić w średnio gorący piec na godzinę. Wyjmować z formy, kiedy już nieco przestygnie, gdyż jest tak kruchy, że dopóki bardzo gorący, może się połamać. Podawać do stołu dopiero nazajutrz po upieczczeniu.

### TORT CHLEBOWY (na prośbę czytelniczki).

Chleb razowy pokrajając w cienkie płatki i ususzyć w piecu utłuc, doskonale i przesiać przez sitko. Osiem żółtek utrzeć do białości z pełną szklanką cukru-pudru, dodać trzy ćwierci szklanki mąki z razowego chleba, pięć migdałów gorzkich, drobno utłuczonych, uciierać jeszcze razem; nakoniec dodać białka, ubite na sztywną pianę, i upiec dwa równe krążki w tortownicach, wysmarowanych masłem i wysypanych tartą bułeczką (kto ma jedną tortownicę, może upiec jeden krag, i dopiero nazajutrz po upieczczeniu przekrajając go napłask bardzo ostrym nożem).

Pół szklanki syropu malinowego zmieszać z pół szklanką araku (można też wziąć wódki i dodać łyżeczkę esencji ponczowej), połączyć obficie oba krążki, lejąc potrochu, aby dobrze nasiąkły. Jeden z nich posmarować konfiturami (najlepiej malinowymi) i przykryć drugim. Sześć deka czekolady utartej i sześć deka cukru-pudru rozpuścić w łyżce mleka, trzymając rondel na brzegu blachy, aby do dna nie przywarło. Tym lukrem cieniuchno pociągnąć tort i posypać, zanim lukier zastygnie, kilku sparzonymi, oczyszczonymi z lupin i cieniutko uszatkowanymi migdałami.

JARZYNY ZIMOWE (na prośbę czytelniczki).

Chcąc podać elegancki, a niezbyt kosztowny półmisek jarzyn zimowych, możemy użyć po pół kilo marchwi (grubej, z tępych końców — ten gatunek jest najsmaczniejszy), salsefji (cienkiej i równej), brukselki (najdrobniejsze i najtwardsze główki) i kilo bulwy włoskiej (równe, nieduże kartofelki). Wszystkie jarzynki oczyścić starannie. Salsefję i bulwy namoczyć po oskrobaniu w wodzie, zakwaszonej octem, aby nie

szczerniały. Marchewkę pokrajać w grubą kostkę takiego rozmiaru, jak młode, wiosenne, inspektowe karotki.

Każdą jarzynkę ugotować oddzielnie. Salsefję i bulwę w wodzie osolonej z łyżeczką cukru. Marchewkę ugotować w niedużej ilości lekko osolonej wody; gdy już prawie miękka, wodę odlać, włożyć niedużą łyżkę masła i dusić wolno na brzegu blachy, aż nabierze lekko rumianego koloru. Brukselkę na dziesięć minut przed podaniem wrzucić na mocno osolony wrzątek i gotować prędko w otwartym rondlu — a to dla nadania jej i zachowania ślicznego, szmaragdowego koloru. Po dziesięciu minutach powinna być miękka. Odlać ją na durszlak i trzymać tak nad rondlem z wodą aż do chwili podania.

Ułożyć te cztery gatunki jarzyn na okrągłym półmisku w ładną, prawidłową gwiazdę, w taki sposób, aby zielone i żółte jarzyny dzieliły obie jarzyny białe. Można jarzyny te połączyć masłem zrumienionym z bułeczką, lub też każdy gatunek (za wyjątkiem marchwi, która ma już dosyć masła) wymieszać w rondelku z kawałkiem dobrego masła, a w sosjerce podać do nich sos holenderski, jak do ryby. Można brzeg półmiska lub miejsce, gdzie się pojedyncze jarzyny stykają, ubrać „fleuranami“ z francuskiego ciasta, lub grzaneckami, zrumienionymi na maśle.

Pani Elżbieta.

## Premje dla stałych Prenumeratorek

Każda z pań, która **wpłaci wprost do naszej Administracji półroczną prenumeratę „BLUSZCZU”**

**otrzyma bezpłatną premję**

**do wyboru, a mianowicie:**

**1) 6 modnych chusteczek, ozdobionych haftem, każda inna, jedna z nich zaczęta, do innych dołączone potrzebne dodatki.**

Chusteczki wykonane są ze ślicznego opalu krajowego, wyrobu jednej z najstarszych w Polsce fabryk *Tow. Schlösserowskiej przędzalni bawełny i tkalni w Ozorkowie, która egzystuje od 1807 roku*

albo

**2) duży fiakon doskonałej wody kolońskiej**

lub

**3) pudełko mydeł toaletowych**

*znanej ze swych wyrobów firmy Fr. Puls w Warszawie.*

Niezależnie od tych premij, każda **pięćdziesiąta, setna, sto pięćdziesiąta itd.** prenumeratorka z pomiędzy wpłacających półroczną prenumeratę **otrzyma bezpłatnie** znakomitą książkę kucharską, zawierającą przeszło 5000 przepisów kuchennych i gospodarskich p. t.

**„Doskonała kuchnia“**

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

# Nasza Mównica

## Walka z wiatrakami

Kiedyś, w roku ubiegłym był w „Naszej Mównicy” artykuł o marazmie prowincjonalnych miast i miasteczek. Kończył się on pytaniem: w jaki sposób poruszyć stojące wody, kędy skierować energję, wolę i dobre chęci, by wzbudzić w sługach przyziemnego czynu echo społecznej pracy, oddźwięk myśli wielkiej? Poradźcie!

Myślałam sobie wtedy: prosty sposób. Zakasać rękawy, wziąć się do pracy w tej, czy innej instytucji, pokazać na przykładzie, jak się pracować powinno, gdyż dola gromady ludzkiej warta jest, by dla niej poświęcać mózg, duszę, serce, ba! dolę własną, życie całe.

I dziwiłam się, że takie oto pytania rzucają ludzie dzielni jeszcze i pewnie ludzie dobrej woli. Przed rokiem. Dziś się nie dziwię. I dziś — rozumiem.

Jest miasto wojewódzkie, z piękną tradycją historyczną i poetycką, miasto stare, z ludźmi nowymi. W mieście onem, jeżeli sądzić z ilości instytucyj, kół, związków, stowarzyszeń etc., wre duża praca. Czy jednak naprawdę?

A oto, jak się sprawa przedstawia przy bliższej z nią znajomości, jak się ją rekomenduje nowemu pracownikowi, na którego się liczy. Jest tu „Strzelec”, nota-bene na naszym terenie organizacja papierowa; jest Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, o którym nic specjalnego nie można powiedzieć; jest Z. P. N. S. P., chęci dużo, pozytywnej roboty mało, trzeba będzie trochę ich ruszyć; jest miejscowy dziennik, który polecam specjalnej pamięci, bo marnie „stoi” i t. d. coraz dalej, coraz głębiej i czarniej.

Pewnie się pracownica zrazi, schowa chęci w zanadrze i zamknie się w czterech ścianach mieszkania. Skądże! Zaczyna się praca. Oto chęci, ofiarowane organizacji zawodowej, i umiejętnie podsunięty program; oto praca mózgu i serca, skierowana ku zagadnieniom oświaty kobiecej, a wola i cała ekspansja codziennego bytu pochłonięta pragnieniem: jak najlepiej zrobić, jak najprędzej zacząć robić, jak najudatniej i najtaktowniej brać się do rzeczy, boć skrzypce prowincjonalnych ambicyj i plotek mają czule struny.

Gdybym chciała malowniczo przedstawiać ów stan duszy, w atmosferze dusznej i czarnej, obraz takby mniej więcej wyglądał: szare ciężkie zwały oparów ludzkich mózgów, atmosfera beznadziejnie ponura, jak godzina przed wielką burzą, a wśród owych szaro-burzych dymów i czadów tocząca się jasna kula zwanego czynu, krzepkiej myśli, twardej woli. Toczy się, szuka współtowarzyszek, blaskiem przebić chce opary.

Niema o kogo się oprzeć. Ludzie, idee, przeniesione na ten grunt, to wszystko zagadnienia płynne, bieżące, jak mętna woda, zależne od formy, jaką im nadadzą bądź względy sąsiedzko-towarzyskie, bądź aktualne, specyficznym prądem biegnące, nigdy nieprzewidziane nastroje.

I jest coś, co dławi. Prostu bierze za gardło i dusi, kładzie się na piersi i zmorą w oczy zagłada, brak tchu, brak horyzontu, brak rozpędu. I jest coś, co zaciemnia mózg, co osłabia wolę, a krzepkie, zwarte czyny przekształca na kołtuńską modłę, uczciwość jednostek stawiając pod znakiem zapytania, tworząc dokoła człowieka misterną siatkę intryzek, plotek, podrażnionych ambicyj i zadraśniętych, dalibóg nie wiem, z jakiego powodu, miłości własnych.

Odbiegłam jednak od tematu. Stańło na tem, że cicha pracownica staje się głośna, że chwyta robotę, nie eliminując z niej werwy i entuzjazmu człowieka, dla którego praca ideowa jest zagadnieniem być, albo nie być.

I oto zjawiają się słowa uznania, mniejsza o nie, ale zjawiają się i ludzie, idący do wspólnego nurtu. Na moment, na bardzo krótkie momenty, bo zaraz potem opary szaro-burzych przyziemności wracają na zajmowane uprzednio stanowisko, momenty, z których, zdawało się, można będzie krzesać stal, toną w powodzi sąsiedzkich plotek. I zaczyna się walka z wiatrakami. Kwestja utrzymania się w jakiej takiej atmosferze codziennego bytowania staje się zagadnieniem niepośledniej wagi, problemem, trudnym do rozwiązania. Zaczyna się mozolna walka złotej kuli z napastującymi ją czadami zdegenerowanych małością dusz.

Szukam poważnie przyczyn, a nie mogąc znaleźć sama, pytam: odpowiadają mi, że to zwyczajne u nas rzeczy, że tu każdy się źle czuje, że tu się nigdy nic porządnego długo nie uchowa, że tu żadne zamierzenie do skutku dojść nie może, że szkoda marnować energję, że myśmy się już przyzwyczaili... Walka z wiatrakami, bo niema miejsca na mocne słowa, na poważną pracę, jak niema miejsca dla mocnych ludzi i czystych idei.

Beznadziejny, marazmem nasiąkły, w błocku ugrzęzły światek miasteczka prowincji. Myśmy się już przyzwyczaili... Jeżeli tak, to dlaczego, na miłość Boską, sprowadzacie tu ludzi, nie zarażonych tą gangreną, dlaczego, jeżeli sprowadzicie, nie opancerzycie ich przed zakusami wegetacyjnego zła, dlaczego sami nie bronicie się przed niem, jeśli je widzicie, poco marnujecie dusze własne i pozwalacie marnować je przybyszom?

Rzucam takie oto myśli nie dlatego, by prowokować którą z pań do dania mi pociechy lub rady.

Miksturę przepisałam sobie sama. Tylko się zastanawiam, czy walka z wiatrakami doprowadzi do czego? czy warto do niej stawać i czy nie czas byłoby, proszę pań (zwracam się do pań zdrowych), by siostry nasze zajrzały do swych mózgów, spojrzwały na ich plan i powiedziały: dość? I czy nie lepiej mówić młodym stworzeniom, rwącym się do roboty: nie idź tam, bo cię zjedzą na surowo, idź gdzieindziej, bo się tobą zaopiekują, bo ci tam pomogą. I czy nie wartoby było olbrzymie, potencjonalne energie młodych dusz zużytkować dla czystszej idei i prawdziwej roboty?

Zastanawiam się i po raz setny konstatuje fakt: mało nas, niewiast, do solidnej roboty.

I jeszcze myślę, że pracy swojej nie rzucę, zjeść się nie dam, ale mi szkoda entuzjazmu, biorącego systematycznie po łbie, i szkoda mi, bardzo szkoda ludzi, przy entuzjazmie i pracowitości nie mogących zdobyć się na pospolitą zajadłość, wojujących z wiatrakami, aby wkońcu załamać się i swojemi zgorzkniałymi duszami dokładać balastu do zwalów sceptycyzmu, który, rosnąc coraz bardziej, przyczynia biernego ła. Żal mi ludzi, którzy, miast powiedzieć kategorycznie: dość kołtuństwa! stwierdzają tylko fakt.

*Tropaczyńska Wera.*

### **Nie trzeba zniechęcać** (w odp. p. J. Strzeleckiej)

Strasznie ostro i surowo ujęła p. Jaxina Strzelecka kwestję pracy społecznej kobiet. I zupełnie słusznie zauważyła p. Mossoczowa w swej odpowiedzi, że „Sz. Autorka nie przypuszcza nawet, jak przykre wrażenie wywarł jej artykuł na prawdziwie pracujących kobietach i wiele dał atutów w rękę przeciwnikom wszelkiej pracy społecznej...“. Dodam od siebie: specjalnie kobiecej pracy społecznej.

Taki obrazek:

Kresy południowo-wschodnie. Nieduże miasto powiatowe. Praca społeczna mało rozwinięta. Kobiety wcale w niej udziału nie biorą, nawet w urządzaniu tych obchodów, akademij, uroczystości, których epidemia tak zatrzaża p. Strzelecką. A kiedy się mówi o konieczności wciągnięcia kobiet do wspólnej pracy, słyszy się powiedzenia, właśnie jakby wyjęte z artykułu p. Strzeleckiej, lub wręcz słowa: „niema nic wstrętniejszego od kobiety-społeczniczki“. I teraz proszę sobie wyobrazić, że małżeństwo, w którym mąż jest przeciwnikiem pracy społecznej żony (a takich małżeństw jest tu 75%), czyta powyższy artykuł w jednym z czołowych pism kobiecych, artykuł, umieszczony na pierwszej stronie, podkreślający złe i śmieszne strory tej pracy. Jakaż więc broń daje w ręce przeciwnika?

Dlaczego jedne i te same jednostki biorą udział w rozmaitych komitetach? Dlatego, że są bardziej ofiarne, zdolne i energiczne, lepiej potrafią sobie poradzić z kilkoma zobowiązaniami, niż inne z jednym. To samo zresztą widzi się i w „męskich“ komitetach. Jednostki prowadzą, kierują, ciągną i pchają, tak było zawsze i tak, zdaje się, będzie, gdyż charaktery i temperamenty zawsze różnić się będą. Ale trzeba pamiętać, że właśnie te jednostki skupiają koło siebie inne, wciągając je do pracy i kształcąc.

Możliwe, że w naszych dużych miastach kobiety zbyt rzuciły się do pracy społecznej, odsuwane tak długo, dorwały się do niej, często jej podolać nie mogąc. Rzuciły się do niej, powodowane czy to pragnieniem wyładowania zbywającej energii, czy chęcią wzięcia udziału w szerszym życiu, czy też próżnością kobiecą. O, zapewne: „arcyprzyczyna to rzadki dar“, ale nietylko u kobiet. Zresztą te, powodowane ambicyjkami, dość prędko odpadają, jako niewygodny balast. I nie te „motywy angażowania się do pracy społecznej“ są straszne, to z czasem zniknie, lecz straszna jest właśnie martwa bierność mas kobiecych na prowincji, bierność wobec wszelkich zagadnień społecznych i państwowych, obojętność, w którą taranem walić trzeba, aby się kruszyć zaczęła. I o tem właśnie radzę pomyśleć. Za wiele, zabardzo wiele odcinków pracy społecznej, jak słusznie mówi p. Mossoczowa, potrzebuje rąk wtedy, kiedy całe rzesze kobiet przypatrują się tylko ciężkim wysiłkom nielicznych jednostek, wciągane zaś do tej pracy, wznoszą ramionami: „ja tam nie mam czasu, tyle roboty mam w domu“. A proszę się tylko bliżej tej „robocie“ przypatrzeć! Czy takie kobiety, pilnujące tak domu, są podług pani Strzeleckiej, pożądane?

Rola tych „niezastąpionych“, po za ich zasługą przed społeczeństwem, jest i pod względem pedagogicznym wielka, gdyż one to właśnie dają nam przykład, że „praca społeczna powinna być radosną emanacją najlepszych pierwiastków“, one swą ciężką pracą budzą powoli martwe ugory życia duchowego rzeszy kobiecej. One też uczą innych rozumieć słowo „odpowiedzialność“.

Gdyby p. Strzelecka wiedziała, jaką rolę odegrały już i odgrywają jeszcze „te obchody, święta, uroczystości“ w małych i małych miastach i miasteczkach, w najrozmaitszych kątach naszego kraju, nie mówiłaby z takim znużeniem o tej „zatrzażającej epidemii“. Czy zdajemy sobie sprawę, że te święta były i są w małych miastach niemal jedyne okazjami, kiedy szerszemu ogółowi, całym rzeszom szarej, często „bezpłatnej“ publiczności, dać można garść wiadomości z dziejów kraju, z życia jego najlepszych synów, budzić świadomość przynależności narodowej, uczyć szanowania i uznawania dat historycznych? Weźmy nasze uroczystości narodowe: już w przeddzień jaki ruch w miasteczkach, szczególnie wieczorem, co za krzyki radosne przy ogniach bengalskich! wszystko, co żyje, wylega na ulicę, uczucie wspólnej radości łączy wszystkich. Spójrzmy na naszą młodzież, jak ona się w takie święta bawi, bez wszelkich pozostałości „niewolniczych“, z całym prawem do życia i wolności.

Pozatem, nie chciałabym wierzyć, iż „zdemokratyzowanie naszego społeczeństwa jest fikcyjne“, może w stolicy, gdzie tyle jest „wysoko postawionych“. Mogę powiedzieć z własnej praktyki społecznej ostatnich ośmiu lat, że na prowincji nietylko „szare, nieutytylowane jednostki pracują i dają inicjatywę“, ale często właśnie starsze i utytułowane podporządkowują się młodym, szarym i dzielnym. O ile p. J. Strzelecka zechce, chętnie poprę me słowa dowodami.

*L. Ch.*

## Potrzeba nam zachęty i wymiany myśli (w odpowiedzi „Jednej z wielu“).

Kwestja, poruszona przez panią, jest sprawą doniosłą i aktualną, żywo obchodzi mię ona i często nad nią rozmyślałam.

Nigdy nie mogłam się pogodzić z tak zwanym „koniecznym złem“ i „podwójną moralnością“, ale nieraz wątpiłam w lepsze jutro. Obecnie odzyskałam całkowicie „wiarę w człowieka“, spotykając mężczyzn, szczerze i gorąco dążących do ideału, do małżeństwa, gdzie mąż nie jest „wielbicielem“ lub „tyranem“, a prawdziwym towarzyszem żony. Są to wprawdzie pojedyncze fakty, ale są, a więc może być lepiej, może być dobrze.

Sądzę, że pragnienia i dążenia matki rozbijają się nie tyle o odrębność psychiki męskiej, ile o to, że, jako wysiłki jednostki, są za nikłe i za słabe, by się przeciwstawić złym wpływom i przykładom.

Gdyby do odrodzenia duchowego mężczyzn dążyła nie tylko matka, siostra lub żona, ale koleżanka przy pracy, dobra znajoma przy zabawie, wogóle każda kobieta, z którą wypadnie mu obcować, dążenia te stałyby się o wiele łatwiej ziszczalne.

Powinnyśmy pamiętać, że każda kobieta, bez względu na wiek i stanowisko, jest wychowawczynią mężczyzn, powinnyśmy, doskonaląc się same, doskonalic mężczyzn.

Wierzę, że w świecie ducha, równie jak w świecie materji, nic nie ginie.

Jestem przekonana, że praca matki nie pójdzie na marne nigdy; po chwili zwątpienia, dobra matka będzie nadal walczyła mężnie i wytrwale o wcielenie swych ideałów, pokrzepiona myślą, że nie jest odosobniona w swych wysiłkach. Walka to długa i nie jednego pokolenia. Po nas pracę poprowadzą nowe kobiety; oby dane im było doczekać „królestwa ducha“!

*Matka z Kieleckiego*

## „Dla naszej starości“ (w odpowiedzi na artykuł p. Prażmowskiej).

Bardzo gorąco solidaryzuję się z projektem, podanym przez panią Prażmowską w sprawie Ognisk Emerytalnych. Jestem gotowa przystąpić jako członek czynny do zrzeszenia, po zatwierdzeniu ustawy.

*Kielczanka.*

Jako jedna z wielu, które zainteresowały się artykułem p. Prażmowskiej „Głos kobiety do kobiet“, uprzejmie donoszę, że myśl tworzenia „Ogniska“ powitałam ze szczerem zadowoleniem.

Mimo młodego wieku, poznałam walkę życiową i miła mi będzie myśl, że zabezpieczam sobie na starość własny kącik. To też celem uzyskania go, proszę zaliczyć mnie do grona tych pań, które dążą do tego samego celu; chciałabym figurować na ich liście.

Czekam, kiedy będę mogła uiścić pierwszą należącą się składkę i odebrać dokument, jako prawna członkini.

*Izabela Gaşiorowska*

ul. Św. Stanisława 3 — Częstochowa.

## Nasze ankieta gospodarcza.

1) Zakupu produktów spożywczych i bielizny dokonywuję osobiście, z mężem lub kimś z rodziny.

Zakupy produktów, zapisanych w książeczce kontroli zakupów, załatwia służba w Spółdzielni.

Dziwi mię, że ten sposób tak mało jest omawiany na łamach „Bluszczu“.

Spółdzielczość polska ma nie tylko hurtownie, ale już po mału przechodzi do własnego przemysłu. Że wyliczę tu tylko wytwórnice mydła, pasty do butów i zapraw do podłogi, tartak i torebkarnię w Kielcach, wytwórnice cukierków, powideł i torebek we Włocławku, młyny w Zagłębiu, a rozsyp oryginalnej herbaty cejlońskiej, kakao i innych korzeni w Warszawie. Produkty monopoli polskich i fabryk, idących po linii najbliższego kontaktu ze spożywcami, bez pośrednika, ma na składzie centrala „Spolem“, przekazując je wprost z fabryk.

Godło i hasło „Spolem“ powinna znać i popierać każda polka.

Pamiętajmy, że 85% zakupów robi kobieta sama, resztę wspólnie z mężczyzną.

2) Zakupy robię po poznaniu źródła, stale w jednym miejscu, jeśli towar jest dobry i tani; nawet na rynku poznają mię dostawcy, ofiarujący towar bez zarzutu.

Resztę towarów nabywam w myśl opinji osób, znających miasto i sklepy.

3) Towary zagraniczne różnią się niższą ceną (obuwie), ale prawie zawsze są słabsze w użyciu. Kupiec nigdy nie powie, jaki pokazuje towar, a stara się wyrozumieć zapatrywania kupującego, następnie zaś nazywa stosownie pokazywany towar, chyba, że zdradza go marka fabryczna.

Miałam wypadek, że na Pomorzu pokazano mi nici angielskie bardzo dobre i pokupne. Po spojrzeniu na szpulkę, przeczytałam ze śmiechem: „Nitocznaja fabrika Łódzkiej manufaktury“ — napisane było rosyjskim alfabetem i dlatego to był towar zagraniczny, a może nawet agent, by podnieść cenę, podał firmę, jako angielską. Wyprowadziłam kupca z błędu, co z niedowierzaniem, skonfundowany, przyjął do wiadomości. Ale cena była zagraniczna.

4) Braku przedmiotów i towarów we Włocławku nie widzę.

5) Żądania i krytykę zawsze zgłaszam.

6) Urządzenia handlu, po 6 latach pobytu na Pomorzu, i to w pięknym Grudziądzu, wydają mi się we Włocławku przeważnie prymitywne, sklepy są ciemne, brudne i nie dbają o wygodę i zachęcenie swym wyglądem kupującego. Ogromna zmiana w traktowaniu klienta widoczna, ale nie wszędzie; dużo jeszcze jest do odrobienia. Bezsposornie jest to zabytek po zaborcach, zmuszających do gnieźdzenia się. Odsyłanie do domu nie praktykuje się naogół, ale już zdarzają się propozycje, co najdziwniejsze, że na targu u straganiarek!

8) W „Bluszczu“ chciałabym widzieć ogłoszenia o naszych wydawnictwach polskich z wszelkich dziedzin życia społecznego i z beletrystyki.

9) Większą ilość wzorów i krojów ubrań dla chłopców od 5—14 lat, oraz ogłoszeń przemysłu spółdzielczego i towarów krajowych, z podaniem adresu fabryki, a także szkiców urządzeń wewnątrz mieszkań (planów) 1, 2 i 5 pokojowych z kuchnią i przynależnościami.

10) Po ubranie jadę do Warszawy, po bieliznę do Łodzi.

*J. B. — Włocławek*

Stosownie do próśby Sz. Redakcji podaje, że w miejscu mego zamieszkania jest stały brak jadalnego żytniego razowca, natomiast biały — dobry. Chleb razowy jest wypiekany z domieszką ostrych, owsianych plew, całych nasion traw i często ze stęchłej maki! Jest zamało jaj i masła, a drobiu wcale. Tłumaczą te ostatnie braki dużą odległością okolicznych wsi.

Braki w dziedzinie galanterji kupcy tłumaczą tem, że na niektóre towary jest zamało zapotrzebowanie, lub też, że dają im zamały zarobek, dlatego nie oplaci się im sprowadzać.

*Anna Karpińska — Białowieża.*